# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 3 listopada 1917. Nr. 44


# Obchód Kościuszkowski w Warszawie.



Pochód przed Ratuszem.

## Obchód Kościuszkowski w Warszawie.

Warszawa obchodziła dnia 15. b. m. stuletnią rocznicę zgonu Kościuszki niezwykle uroczyście. Miasto od świtu przedstawiało odświętny wygląd.



„Święto umarłych" w czwartym roku wojny: Cmentarz wojenny w Lepnjatale /

We wczesnych godzinach otwarto tylko sklepy z żywnością, które jednak zamknięto z rozpoczęciem się nabożeństw w kościołach. Na domach i gmachach powiewały chorągwie. Okna sklepów i domów, nawet i najuboższych, przyozdobiono nalepkami, portretami, sztychami itp. Ulice już od wczesnej godziny zaroiły się rzeszami, spieszącemi na nabożeństwa do kościołów.

Obchód zainaugurowało nabożeństwo, odprawione w kościele garnizonowym wojska polskiego przy ulicy Długiej. Udział publiczności był tak liczny, że rozmiary skromnej świątyni nie mogły jej pomieścić; spory jeszcze tłum zalegał plac przed kościołem, gdzie stanęła także kompania honorowa wojska polskiego, złożona z trzech sekcyi szkoły podchorążych, sekcyi szkoły podoficerów i oddziału nowozaciężnych. Delegacya Legionów z chwilą rozpoczęcia się nabożeństwa weszła do świątyni i zajęła miejsce przy głównym ołtarzu, gdzie zebrane już były reprezentacye stowarzyszeń i organizacyi politycznych. Nabożeństwo odprawił ks. Antosz, kapelan brygady karpackiej.

Uczelnie warszawskie uczciły rocznicę nabożeństwem, odprawionem przy ołtarzu, ustawionym na terasie pałacu Kazimierzowskiego. Wzięli w niem udział przedstawiciele senatów uniwersytetu i politechniki, profesorowie, delegaci młodzieży akademickiej wyższych uczelni ze sztandarami, uczniowie i uczenice szkół średnich, liczni nauczyciele i wychowawcy. Następnie odbyło się odsłonięcie tablicy pamiątkowej, umieszczonej na ścianie tylnej pałacu Kazimierzowskiego, wykonanej z tak zwanego marmuru racławickiego. Na tablicy wyryto napis: „W tych murach, w szkole rycerskiej, kształcił się Tadeusz Kościuszko. 1765—1770". Litery projektował p. Kalinowski. Na terasie ogrodu, w tem



Zgon delegata Fedorowicza: Ś. p. dr. Adam Fedorowicz.




Z frontów bojowych: Zdobyte pozycye rosyjskie w lesie na północno-wschodnim froncie.

miejscu, którego rosyjski kurator naukowy, Apuchtin, zazdrośnie strzegł przed stopą polskiej młodzieży uniwersyteckiej, wygłosił piękną przemowę dziekan wydziału lekarskiego, Dr. Leon Kryński.

Główne nabożeństwo, poprzedzone hejnałami maryackimi z wież kościelnych, odprawił w kościele farnym ks. arcybiskup Kakowski. W prezbiteryum zasiedli: kapituła z ks. biskupem Ruszkiewiczem na czele, przedstawiciele Legionów polskich i reprezentacye wszystkich niemal organizacyi społecznych i politycznych. Obecni byli między innymi: prezydent miasta Zdzisław ks. Lubomirski z burmistrzami, ławnikami i członkami magistratu, Rada miejska, kierownicy szkół wyższych, członkowie przejściowej komisyi Tymczasowej Rady Stanu i przedstawiciele sądownictwa polskiego, włościanie w sukmanach i inni.

Z ramienia władz niemieckich przybyli ks. Salm, hr. Giersdorf, Bohdan hr. Hutten Czapski, hr. Lerchenfeld i inni, z ramienia władz austryacko węgierskich: poseł pełnomocny. bar. Andrian, bar. Ugron, przedstawiciel naczelnej komendy v. Bolfras, bar. Kiss, ks. Olgierd Czartoryski i inni. Kazanie wygłosił ks. dr. prof. Szlagowski. Nabożeństwo zakończył hymn „Boże coś Polskę".

Po nabożeństwie olbrzymi pochód ruszył z katedry na plac Teatralny. Na placu Zamkowym skupiły się tymczasem tłumy. Po hymnie „Boże coś Polskę", odegranym pod pomnikiem Zygmunta przez orkiestrę Filharmonii, pochód cechów i korporacyi udał się na ulicę Senatorską przed gmach ratusza. W niespełna pół godziny obszerny plac Teatralny zapełnił się po brzegi.

Balkony magistrackie przystrojono w festony zieleni i chorągwie o barwach narodowych. Dopełniały ogólnego tła dekoracyjnego wywieszane we wszystkich niemal domach portrety, dywany i emblematy narodowe.

W chwili ustawiania się na placu delegacyi ze sztandarami, w wielkiej sali ratusza zgromadziła się Rada miejska, magistrat, komitet obchodu kościuszkowskiego oraz przedstawiciele wszystkich władz, instytucyi i organizacyi.

Osobne miejsca po prawej stronie prezydyalnego stołu zajęła deputacya wojska polskiego. Na podium za stołem prezydyalnym ustawiły się cechy ze sztandarami, przyczem większość w kontuszach. Uroczyste posiedzenie zagaił prezes Rady, Sulgowski; następnie przemawiał burmistrz Drzewiecki. Posiedzenie zakończyło się owacyjnem przyjęciem wniosku, zalecającego nadanie lewemu pobrzeżu Wisły, pomiędzy mostem Kierbedzia a mostem ks. Poniatowskiego, nazwy „Bulwar Tadeusza Kościuszki".

Następnie odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej, wmurowanej we frontową ścianę ratusza. Po odegraniu hymnu „Boże coś Polskę" przez orkiestrę Filharmonii i opery i przemowie prezesa komitetu, prof. Smoleńskiego, opadła zasłona tablicy. Potem z balkonu przemawiali: prezydent Zdzisław ks. Lubomirski i chłop Kuna z Maciejowic.

Wieczorem odbywały się uroczystości w Filharmonii i teatrach Wielkim i Rozmaitości.



**Obchody Kościuszkowskie na prowincyi:** Wykonawcy „Kościuszki pod Racławicami" na scenie „Sokoła" w Jaworznie.



**Anarchia w Rosyi:** Demonstracya pokojowa w Moskwie.

## Zgon delegata Fedorowicza.

Z powszechnym żalem przyjął Kraków wiadomość o niespodziewanej śmierci delegata namiestnictwa dra Adama Fedorowicza.

S. p. Adam Fedorowicz urodził się w roku 1853 w rodzinnym majątku Krzeczowicach w powiecie przeworskim. Studya gimnazyalne odbył w gimnazyum św. Anny, prawnicze w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i praskim, gdzie się też doktoryzował. Karyerę urzędniczą rozpoczął w namiestnictwie lwowskiem, a przeszedłszy w szybkiem tempie przez stopnie urzędnicze, rozwinął wybitną działalność jako starosta w Rzeszowie, skąd powołany został na odpowiedzialne stanowisko delegata namiestnictwa do Krakowa.

Tą pracą swoją, nacechowaną jak najlepszą chęcią i wolą służenia sprawie publicznej i społeczeństwu, sobie właściwym sposobem obejścia się i towarzyską uprzejmością, pozyskał sobie powszechne uznanie i sympatyę. Już w pokojowych czasach zaopiekował się bardzo gorąco oddanym swej pieczy powiatem, ale dopiero ciężkie czasy wojenne ukazały w całej pełni obywatelskie cnoty i zalety zmarłego urzędnika.

Wspólne przebycie ciężkich wojennych chwil i pomocną rękę, jaką Zmarły, zwłaszcza jako komisarz forteczny okazywał miastu we wszystkich sprawach, zachowa Kraków na długie lata we wdzięcznej pamięci.



**Z frontów bojowych:** Posterunek opatrunkowy nad Soczą.

## Obchody Kościuszkowskie na prowincyi.

W niedzielę, dnia 14. b. m., urządzono w Jaworznie obchód ku uczczeniu setnej rocznicy śmierci Wodza Naczelnika. Piękna pogoda sprzyjała zapobiegliwym paniom, które zaopatrzyły w kokardki każdego przechodnia. Po uroczystej mszy, celebrowanej przez ks. dziekana Skoczyńskiego, wygłosił patryotyczne kazanie ks. wikary Kwapień, który wezwał zgromadzonych do wypełnienia obowiązków wobec Ojczyzny w myśl założeń Naczelnika.

Wieczorem, w pięknie ustrojonej sali „Sokoła", przemówił do nader licznie zgromadzonych, przeważnie robotników górniczych, ks. katecheta Sosin. W podniosłych słowach przedstawił mowca szczegółowo rys charakteru Kościuszki, całą ówczesną epokę i znaczenie Wodza dla historyi narodu.

Mieszany chór, pod wytrawną dyrygenturą p. Starczyńskiego, odśpiewał szereg pieśni, a p. Ringer wygłosił „Pogrzeb Kościuszki", przy akompaniamencie fortepianu.

Nadspodziewanie wypadło odegranie fragmentu z „Kościuszki pod Racławicami". Amatorzy wywiązali się z zadania bez zarzutu. Podnieść zwłaszcza należy grę p. Zapalskiej, jako starościny, typowej matrony polskiej, która efektownie oddała scenę błogosławieństwa kosynierów. Doskonale również grali: p. Zapalski, jako starosta, p. Sikora, jako Bartosz, p. Stankiewicz, jako lirnik p. Lohn, w roli Abrahama, p. Kowarzykówna, jako Filomena, p. Ella Truczak, jako Bartoszowa, wreszcie p. Lonia Truczak w roli hajduka Rydzika.

Czysty dochód 700 koron przeznaczył komitet na dar Kościuszkowski.

## Swięto umarłych w czwartym roku wojny.

Już po raz czwarty obchodzimy „święto umarłych" wśród najstraszniejszej w dziejach pożogi wojennej... Wieleż od tego czasu urosło grobów na pobojowiskach i dalekich cmentarzach wojennych! Spoczywają tam nasi najbliżsi, zagnani wojną na pola bitew. Pełno takich grobów i na Wschodzie i na odległym terenie najkrwawszych dziś walk włoskiego frontu. Wszędzie lała się i leje krew polska i wszędzie powstają nowe mogiły, ku którym myśl nasza pobiegnie w dniu „święta umarłych".

Jeden z takich dalekich cmentarzy wojennych — na włoskim froncie — gdzie jednak niejedno polskie życie legło w grobie — przedstawia nasza fotografia... Na innej widzimy grób zburzony pociskami...



„Święto umarłych" w czwartym roku wojny: Zburzony pociskami grób na cmentarzu w Vogersko

Dziwnie okrutną jest wojna. Nietylko wznosi nowe mogiły, ale i dawnym cmentarzyskom nie daje spokoju.

## Wystawa skautowa w Krakowie.

Miły objaw życia młodzieży naszej mieliśmy sposobność zaobserwować przed paru tygodniami. Oto drużyny skautowe krakowskie, chcąc uczcić pamięć Kościuszki, wystawiły owoc swych prac całorocznych. Wystawa otwarta między 23 września a 4 października b. r. w „Sokole" krakowskim, zwiedzana była licznie i darzona szczerem zainteresowaniem. Fakt, że czysty dochód poświęcili nasi skauci na rzecz kościuszkowskiego funduszu litewskiego, nadał ich wysiłkowi charakter użyteczności społecznej.

Obok wielkiej ilości eksponatów i miłego, niemal artystycznego ujęcia całości, uderzała wielka staranność w wykonaniu, oraz poziom, do jakiego doprowadzono t. zw. sprawności skautowe. Zwłaszcza dział kartograficzny i geoplastyczny wprost zdumiewał i przykuwał widza na długie chwile. Kilkadziesiąt płaskorzeźb najpiękniejszych okolic Tatr i Karpat robiło wrażenie, że się ma do czynienia nie z amatorską robotą, lecz z wytwórczością fabryczną, to też wiele z tych okazów zakupiły tutejsze szkoły do swoich zbiorów geograficznych, a dalszą ich rozprzedażą zajmuje się sklep „Samopomoc młodzieży szkolnej", Kraków, Bracka 17.

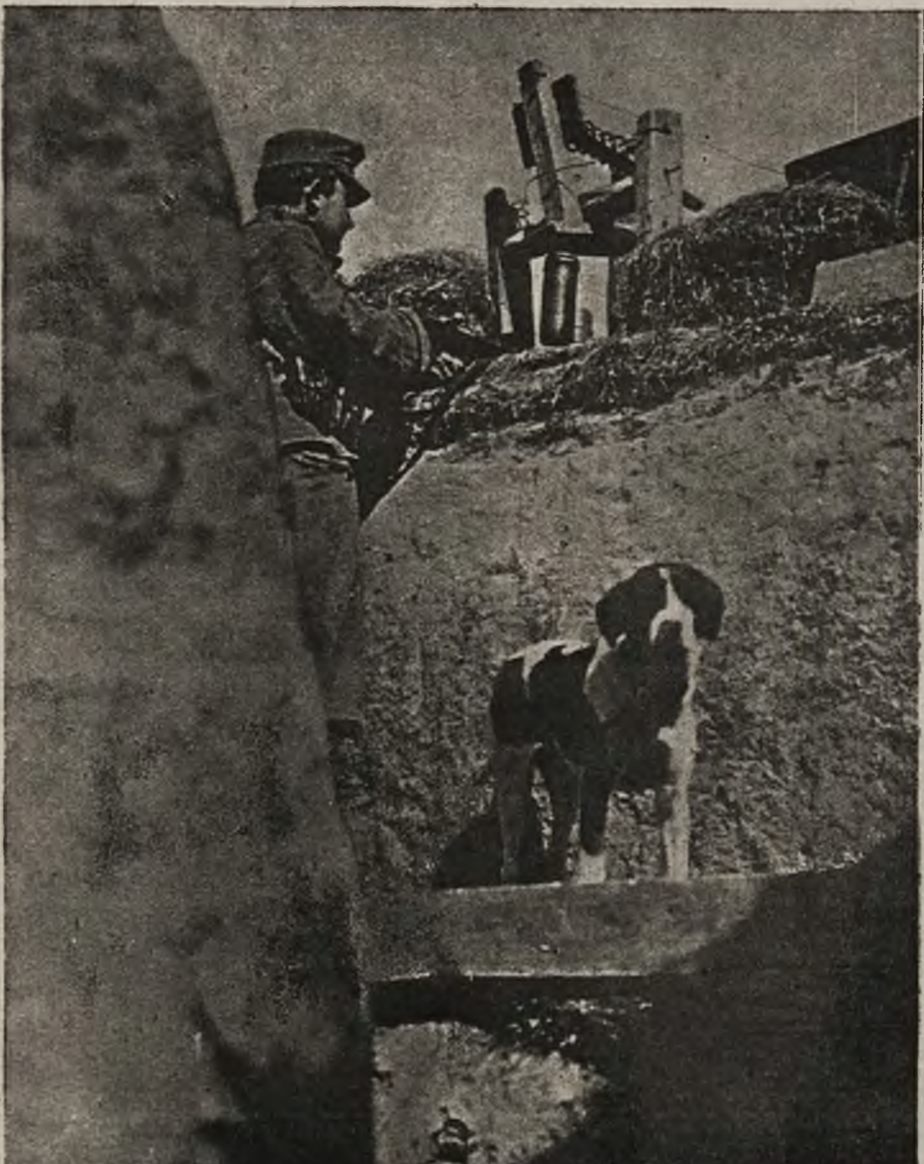
Wobec organizacyi skautowej spełniła wystawa rolę informacyjno agitacyjną, okazując społeczeństwu, jak skaut w organizacyi pracuje i co z niej z zakresu rzeczy dla życia przydatnych wynosi.

Tak pojętej pracy wychowawczej nad naszą młodzieżą serdeczne „Szczęść Boże!"

## Anarchia w Rosyi.

Rewolucya rosyjska obaliła wprawdzie autokratyczne rządy carskie, nie potrafiła jednak dotychczas opanować wzburzonych fal anarchii, która ogarnęła zarówno całe państwo, jak i wojska na froncie. Rząd rewolucyjny jest faktycznie bezsilny, a najbardziej wojownicze odezwy Kiereńskiego pozostają bez skutku, bo masy rosyjskie, przemęczone wojną, myślą tylko o pokoju. To też zapowiadana tak szumnie ofenzywa rosyjska skończyła się sromotną porażką wojsk rosyjskich, które nie chciały się bić i uciekały z frontu — wbrew rozkazom komendy...

To zachowanie się wojsk rosyjskich jest niewątpliwie odbiciem nastroju całej ludności.. Wymownym tego dowodem są urządzane w całem państwie manifestacye pokojowe, mające charakter antirządowy. Zamieszczona w dzisiejszym numerze fotografia przedstawia taką właśnie demonstracyę w Moskwie.





Z frontów bojowych:

Trzej kamraci w rowie strzeleckim: Obserwator, dzwonek alarmowy i pies strażniczy.

Obserwatorzy artyleryi na szczycie góry Ortler na włoskim froncie.

Adam Wiaryga-Minieski.

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

22

Nie przypuszczał, że w młodem, snać niezupełnie jeszcze stwardniałem sercu, zadrgała struna litości i współczucia...

Józia wczepiła się wzrokiem w śniade lica żydówki... Intuicyjnie wyczuła, że ta dziewczyna przeziera jej mękę i chce jej dopomódz.

Reginka z miłym, przyjaznym uśmiechem, który dziwnie rozjaśnił tę ładną twarz o ostrych, wyrazistych, charakterystycznych rysach — podsunęła Józi krzesło..

— Niech pani siada... Nogi bolą od stania...

— Dziękuję...

Reginka zwróciła się teraz całą postacią ku ojcu i żywo gestykulując, zaczęła mu coś szeptem przedkładać...

Gelbfisz kręcił głową, głaskał brodę, cmokał wargami i był widocznie niezadowolony...

Ale Reginka nie ustępowała. Szeptała i szeptała dopóty, dopóki ojciec nie powiedział do Józi:

— Nu ja pani dam tak, jak dla rodzone siostre... Pani dostanie trzydzieszczy korony...

Józia spojrzała z wdzięcznością na Reginkę... Zrozumiała, że to jej wyłącznie interwencyi zawdzięcza to niespodziewane podwyższenie pożyczki.

Gelbfiszówna, zadowolona i dumna ze swego wpływu na ojca, uśmiechnęła się, ukazując z za pełnych, czerwonych warg dwa rzędy zdrowych, równych, nieczyszczonych zębów.

— A na jak długo potrzebuje pani zastawić? — pytał dalej Gelbfisz.

— Na jak długo... — bąknęła młoda kobieta — Bo ja wiem...

— Na trzy miesiące — poddała Reginka.

— Niech będzie na trzy miesiące...

— Niech będzie... I pani mnie podpisze kwit, co pani za trzy mieszące odda czterdzieszczy pięcz korony... To jest bardzo mały procent... Pięcz koron na miesząc... To tyle, co nic...

— Dobrze. Podpiszę — odparła Józia, która nie miała pojęcia o tem, co to znaczą lichwiarskie procenty.

Zadowolona była, że dostanie trzydzieści koron do ręki, a nie zastanawiała się wcale nad tem, kiedy i za jakie pieniądze broszkę wykupi.

Reginka znowu zaczęła szwargotać coś szybko w żargonie, ale Gelbfisz tym razem potrząsnął przecząco głową i usunął córkę na bok niecierpliwym gestem:

— .Gaj! Biste meszuge, Reginkie?!...

Józia, podpisawszy kwit, włożyła za rękawiczkę trzy zmięte dziesięciokoronowe banknoty i wybiegła z mieszkania Gelbfisza, jakby ją kto gonił.

Reginka pospieszyła za nią, aby jej wskazać wyjście przez podwórze...

Józia podniosła na dziewczynę swoje niebieskie oczy i szepnęła:

— Dziękuję pani bardzo...

Reginka nic nie odpowiedziała, ale widać było po niej, że jest wzruszona.

Kiedy córka wróciła do mieszkania, Gelbfisz gniewnie trochę zawołał:

— Co się tobie stało, Reginka?!... Dlaczego ty mnie wydarłaś piętnaście koron z kieszeni?... I jeszcze chciałaś, żeby ja od niej wziął mały procent?! Czy tobie się nie przekręciło w głowie?!... To jest synowa bogatej Żarnickiej...

— No, ja sobie tak myślałam — odpowiedziała jakoś melancholijnie dziewczyna — że jak synowa bogatej Żarnickiej przychodzi zastawić u nas swoją broszkę, to ona musi być bardzo biedna...

— A co ciebie to potrzebuje obchodzić, czy ona biedna... Jakby ja myślał, kto biedny, to ja bym był żebrak, nędzarz... Ja nie wiem, co tobie za głupstwa przychodzą do głowy!... Czy ona ciebie oczarowała?!

Reginka zatopiła rękę we włosach i zamyśliła się:

— Ja nie wiem, tate, ale mnie jej żal...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Józia zastała w domu list od męża.

Oczy jej pojaśniały radością.

Nareszcie!...

Już dziesięć dni nie miała żadnej wiadomości i zaczynało ją to niepokoić trochę.

Drżącemi ze wzruszenia i niecierpliwości rękami rozerwała kopertę i czytała:

„Józiu..."

Coś ją zmroziło w sercu. Dlaczego taki chłodny tytuł?... Zwykle Konrad pisywał „Józik, mój złoty..." albo „Najdroższa Józieńko..."

Młodą kobietę targnęło niedobre przeczucie. Gorączkowo czytała dalej:

„Myślałem, że można ci zaufać i wierzyłem, że mnie kochasz prawdziwie... Niestety, dowiaduję się, że się myliłem..."

Józia uczuła, że jej ślina w gardle wysycha i pulsy w skroniach zaczynają uderzać jak młotem.

Co to znaczy?!... Za co? Dlaczego?!

„Doprawdy, nie spodziewałem się tego po Tobie, abyś mi w ten sposób miała umilać moje i tak obecnie ciężkie życie..."

Litery skaczą Józi przed oczyma, ręce jej dygocą, jak w febrze.

„Ładnych dowiaduję się rzeczy! Nie tylko, że hardością swoją i uporem zatruwasz życie mojej matce i ciągle wywołujesz nieporozumienia (a tak Cię prosiłem, abyś się hamowała, abyś starała się zjednać ją dla siebie).

— Boże mój!... Przecież ja chciałam!... Ale czy podobna!... On nie wie, co ona...

„...ale i w całem mieście budzisz sensacyę lekkomyślnem, kokieteryjnem zachowaniem.

Napomykano mi jeszcze o czemś gorszem, ale temu już wolę nie wierzyć, bo, gdybym uwierzył, to..."

— Na miłość Boską, o co chodzi?! Co ja złego zrobiłam?! Dlaczego Konrad tak do mnie pisze?! Ten jeden spacer... ależ on o tem przecież jeszcze wiedzieć nie może... A ja już nigdy... nigdy...

„Jeżeli nie powstrzymuje Cię uczucie, jakie, sądziłem, że masz dla mnie, to zechciejże pamiętać przynajmniej o tem, że jesteś moją żoną i nosisz moje nazwisko..."

Dalej Józia już czytać nie może, bo łzy przesłaniają jej oczy. Z drżących rąk papier wypada i osuwa się na ziemię.

W Józi niema gniewu, ale jest żal bezmierny.

Okłamali Konrada, to jasne!... Napisali mu o niej jakichś niesłychanych rzeczy... A on uwierzył...

Ale dlaczego uwierzył?!... Nie powinien był uwierzyć!...

Czemu nie zapytał się wprzód: „Józia, powiedz, jak było?..." Ale wydawał wyrok odrazu!.. Tak nielitościwie, ostro pisał: „Nie spodziewałem się tego po Tobie!...

Czego!!... O! Boże!... Boże!...

Żal rośnie i poczucie krzywdy potęguje się.

Józia rozgorączkowana, zaciskając konwulsyjnie ręce, że aż paznokcie wpijają się w jej skórę, chodzi po swoim pokoju.

Kto ją oczernił przed Konradem?!...

Naturalnie, że matka! Któżby inny?!... Ta zła, niegodziwa, bezlitosna kobieta!

Ja wiem, do czego ona dąży!... Chce mnie rozłączyć z Konradem!... Ale ja będę się bronila!... Wyzywa mnie do walki!... Dobrze!... Będziemy walczyły... Konrad chce, żebym się starała zjednać ją dla siebie... Gdyby on wiedział, co to za gorzka ironia!...

Młoda kobieta schyliła się nagle po porzucony list. Przeczytała go do końca, a potem blada bardzo, ale z podniesioną hardo głową, poszła wprost do teściowej.

Pani Żarnicka porządkowała coś w kredensie w jadalni.

Z salonu dochodziły głosy Loli i Władka Koszczyca.

Na widok synowej pani Żarnicka zmarszczyła czoło.

— Czego chcesz?

— Chciałam mamę zapytać...

— O co?... Ale w każdym razie mów trochę ciszej. Nie krzycz, bo nie jesteś w karczmie, tylko w przyzwoitym domu.

Józia przygryzła wargi.

— Co mama pisała Konradowi o mnie?...

— Proszę!... Cóż to znowu za pytanie!... Mam ci może zdawać sprawę z moich czynności?... Może zechcesz kontrolować moją korespondencyę...

— Mama dobrze wie, że mi to ani w głowie... Tylko rzecz mnie teraz zanadto blisko dotyka... Konrad robi mi bardzo ostre, a niesprawiedliwe wymówki...

— Niesprawiedliwe?... istotnie?... — uśmiechnęła się ironicznie świekra...

— Nie poczuwam się do żadnej takiej strasznej winy, żeby aż...

— Jakaś ty szczęśliwa, że masz tyle pobłażania dla samej siebie... Doprawdy, nie poczuwasz się do niczego?... — pani Żarnicka patrzyła synowej bystro, a szyderczo w oczy.

Józi przypomniał się znowu ten spacer z Łuniewskim. Spuściła głowę..

— Mogę nieraz pobłądzić, ale nie chcę zrobić nic złego — powiedziała cicho — a dla Konrada...

— Moja ty, nie deklamuj przedemną! Nie jestem łatwowiernym, wrażliwym młodzieńcem, więc mi głowy nie zawrócisz...

Oczy Józi błysnęły stalowo.

— Nie mam zamiaru ani mamie ani komukolwiek głowę zawracać, chociaż mnie tutaj o to ustawicznie posądzają...

— Czyż być może?! Czy tylko się nie mylisz?... — śmiała się nieprzyjemnie pani Żarnicka, jakby rozmyślnie drażniąc młodą kobietę.

Józia jednak panowała nad sobą.

— Pragnę się tylko dowiedzieć, o co mnie mama właściwie oskarżyła przed Konradem...

Płomienie gniewu rozpaliły się w oczach pani Żarnickiej i byłoby napewno przyszło do wybuchu, gdyby w tej chwili nie ozwał się bardzo blisko głos Koszczyca:

— No, zobaczy pani... Spytamy się mamy i pewien jestem, że po mojej stronie stanie...

Pani Żarnicka w jednej chwili powściągnęła się. Cicho i szybko powiedziała:

— Mogłabym ci nie odpowiadać wcale, zważywszy twoją bezczelną hardość... Powiem ci jednak, jeżeli chcesz koniecznie wiedzieć... Konrad dostał z Łykowa jakiś list bezimienny, który go dokładnie informuje o twojem ze wszech miar godnem zachowaniu się...

Była to prawda. Jakaś złośliwa dusza przyszła w pomoc pani Żarnickiej.

Konrad razem z listem matki, bardziej ogólnikowym i tajemniczym, otrzymał zjadliwy anonim.

Ten wypadkowy zbieg okoliczności musiał Konrada wyprowadzić z równowagi.

To, o czem matka napomykała w sposób ostrożny, było wypowiedziane w bezimiennej epistole w jaskrawych słowach.

— List?... List bezimienny?... — wykrztusiła Józia.

— Tak jest. Widocznie zdołałaś wzbudzić szczere zainteresowanie. A teraz idź stąd. Chyba, że pragniesz próbować swoich wdzięków na panu Koszczycu...

Jeszcze nie skończyła pani Żarnicka, a już Józi w pokoju nie było.

Młoda mężatka porwała kapelusz, wsunęła list męża do torebki i poszła do Larchówny.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— No i czemże się pani tak przejmuje? — wzruszyła ramionami Larchówna. — List bezimienny?... Wielkie rzeczy... Pani! Wiele ja listów bezimiennych dostałam w mojem życiu...

— Tak, ale...

— Nie ma żadnego ale. Tchórz podły, kto anonimy pisze, a dureń, kto sobie co z nich robi...

Józia zaczerwieniła się, bo to kategoryczne zdanie było jednocześnie wyrażeniem wielce niepochlebnej opinii o Konradzie.

— Kto to jednak mógł pisać?...

— Pewnie jakaś zawiedziona kandydatka do ręki albo serca męża pani. Mnie pani przecież nie posądza?... — dorzuciła po chwili, ściągając swoje sobolowe brwi.

— Ależ, panno Tereso!...

— No, chyba że nie... Ja, gdyby mi chodziło o to, to byłabym prędzej zdolną wydrapać oczy, lub coś w tym guście zrobić... Ale list bezimienny... pfe!... — splunęła z obrzydzeniem.

— Wie pani, co ja myślałam... — zaczęła wahająco Józia, oglądając gorliwie pokrycie sofki.

— No?...

— Ale ja to do pani mówię pod największym sekretem...

— Jak mi pani nie ufa, to niech pani lepiej nie mówi.

— Kiedy ufam i powiem... Ja myślałam, że ten anonim to pisała może ona sama... moja świekra...

Larchówna zastanowiła się chwilę i przecząco potrząsnęła głową.

— Nie! Ona na to za mądra i za ostrożna!... Własną ręką pisać przecież nie mogła, a nie powierzyłaby tego nikomu... O! to mądra baba, tego jej odjąć nie można!... Kuta na cztery nogi..

— Ach! tak..: wiem coś o tem...

— Musiała i ona wrzucić kamień do tego ogródka, ale tego listu nie pisała... Ma pani może tę szanowną epistołę przy sobie?

— Nie, mąż mi nie przysłał...

— Szkoda... Jako pocztarka, widuję ciągle różne charaktery pisma... Może poznałabym... Chociaż, co to właściwie panią odchodzi?...

— Chciałabym bardzo wiedzieć, bo mąż...

— Aha! Rozumiem, napisał pani trochę dusersów — po swojemu!... Znam ten jego miły ton, kiedy jest z czegoś niezadowolony!...

— Panno Tereso!...

— Chce się pani obrażać, że tego dotykam, tak, bez jedwabnych rękawiczek?!... Ano, jak wola!... Komedyi nigdy nie lubiłam odgrywać!...

— Widzi pani, jemu tam i matka musiała coś na mnie napisać...

— Pewnie, że tak było... Nakręciła go, jak starą pozytywkę... Już ona to umie... A ten list bezimienny dopełnił tylko całości...

— A co?... Co mi pani poradzi zrobić?...

— Odpisać mężowi prosto, szczerze, otwarcie, a energicznie!... Nie pozwolić sobie nikomu tańczyć po głowie, a o autorkę — bo to napewne autorka — głupiego anonimu, nie troszczyć się wcale i koniec!...

— Żeby to tak można!...

— Jak się chce, to można!... Tylko trzeba umieć chcieć!... Pani to umie?

— Nie bardzo.

— To niech się pani jak najprędzej nauczy.

— Gdybym to ja mogła — westchnęła Józia, wspierając głowę na ręce — wyjechać choć na kilka dni z tego nieznośnego Łykowa.

## ROZDZIAŁ XIII.

— Dowidzenia.

— Servus, Julek. Idziesz pod „Białego Orła" na kolacyę?

— Nie. Idę do domu. Głowa mnie boli i wcale mi się nie chce jeść.

— A ja wdepnę do Żarnickich na jaką godzinkę — rzekł Władek Koszczyc.

— Jakoś często tam zaglądasz. Prawie codziennie — zauważył Łuniewski, strzepując popiół z papierosa na bruk ulicy.

— No, bo uważasz... jak ci już mówiłem... Lola bardzo miła dziewczyna... I, uważasz, tego...

Julian uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ale uważam, uważam, co się święci... Zaczynasz czuć wolę Bożą do stanu małżeńskiego i kamienicy w rynku...

— Hm... no, nie wiem jeszcze... Gdyby tak jednak było, miałbyś temu co do zarzucenia?

— Bynajmniej. Wogóle w takich wypadkach nie mam zwyczaju ani doradzać, ani odradzać. No, bywaj!...

— Może pójdziesz ze mną? — zaproponował Koszyc.

Łuniewski jakby się zawahał z odpowiedzią przez króciutką chwilkę.

— Nie. Głowa mnie tak boli, że ledwiem wytrzymał w budzie. Idź i baw się dobrze. Słuchajno, a czy... — urwał nagle.

— Czy co? — zapytał Władek.

— E! Nic... Głupstwo...

Koszczyc spojrzał na kolegę filuternie. Domyślny uśmiech przebiegł mu po wargach.

— Aha! Ty pewnie chcesz się dowiedzieć, czy równie często widuję piękną panią Konradową... Nie! Nie widziałem jej ani razu... Pani Żarnicka nie lubi popisywać się synową. Słyszałem tylko raz głos młodej pani. Zdaje się, że kłóciła się wówczas z świekrą.

— Mój kochany, co mnie to może obchodzić? — wzruszył ramionami Łuniewski z obojętnością tak doskonałą, że aż zanadto demonstracyjną.

— Mówią, że cię jednak trochę obchodzi?...

— Co to znaczy mówią? Kto mówi i co? Wyrażaj się nieco ściślej.

— Słyszałem o jakimś romantycznym spacerze zamiejskim.

— Ach! Więc to dało kumoszkom łykowskim powód do plotek, a tobie pobudkę do powtarzania ich. Istotnie spotkałem panią Żarnicką przypadkiem na spacerze...

— A tak... Przypadkiem... — w głosie Koszczyca zabrzmiał drwiący ton.

Łuniewski zbladł nagle i spojrzał wesołemu młodzieńcowi groźnie w oczy.

— Czy wątpisz o prawdzie moich słów?! — rzucił przez zacięte zęby.

Koszczyc cofnął się o krok wstecz.

— Mój Julku, ja ci z kolei odpowiem, że mnie to nic a nic nie obchodzi. Ale nie rób min tak strasznych, bo się nie zlęknę... Więc idziesz stanowczo do domu? — dodał swobodnym zupełnie tonem.

— Tak. Servus.

— Servus.

Podali sobie ręce i rozeszli się z uczuciem jakiejś głuchej urazy.

Koszczyc i Łuniewski znali się zbyt dawno i zbyt dobrze, aby się tak prędko poróżnić mogli.

Łączyły ich wspomnienia lat dziecinnych, przeżyć szkolnych i uniwersyteckich i wieloletni stosunek jeżeli nie prawdziwej, głębokiej przyjaźni, to w każdym razie szczerej życzliwości.

Odmienni bardzo usposobieniem, lubili się jednak serdecznie.

Teraz Łuniewski był wściekły na kolegę za jego plotkarską domyślność, a Koszczyc czuł się obrażony dziwacznem zachowaniem Łuniewskiego.

— Czego się rzuca, jak waryat i przedemną robi tajemnicę, że tam coś jest pomiędzy nim a tą Józią?!... Czy to pierwszy raz?!...

Bo, że między Julianem a młodą mężatką „coś jest", o tem Koszczyc nie wątpił ani na chwilę.

Był z tego nawet poniekąd zadowolony, bo mógł mieć pewność, że kolega, którego wyższość nad sobą uznawał, nie będzie z nim rywalizował o posażną pannę Żarnicką.

Co prawda, trochę zazdrościł, niewiele, nieszkodliwie, nienamiętnie, ale zawsze trochę, bo i jemu samemu Józia podobała się.

— Psiakrew!... królewski kąsek ta pani Józia!... Julek ma szczęście! — myślał. — Gdyby to tak... Ale nie „chyci"! Trzeba być solidnym człowiekiem.

— Ta baba — miał na myśli starszą panią Żarnicką — przez mury widzi i słyszy jak trawa rośnie.

Koszczyc poważnie myślał o małżeństwie z Lolą. Blada panienka podobała mu się, zaimponowała mu nawet swojem dystyngowanem chłodnem ułożeniem, uważał, że doskonale będzie „reprezentować" panią Koszczycową. Niemniej chętnie poflirtowałby ukradkiem z jej piękną bratową, bez żadnych skrupułów czy wyrzutów sumienia.

Nie dlatego wcale, aby był zawodowym donżuanem lub zupełnie zepsutym człowiekiem. Przeciwnie. Władek Koszczyc przedstawiał typ, który obdarza się mianem „poczciwego" chłopca o złotem sercu.

I był to istotnie dobry chłopiec — tą specyalną łatwą dobrocią, która mało wymaga od innych, a jeszcze mniej od siebie.

On lubił tylko w lot chwytać każdą przyjemnostkę i nie przywykł analizować swoich postępków.

Było mu z tem bardzo wygodnie, a że i ludziom było z nim wygodnie, więc nie zamyślał wcale zmieniać linii swego życia.

Nawet wojna, ta najstraszliwsza z wojen, nie pogłębiła jego światopoglądu, nie nauczyła go patrzeć na życie poważnie.

Osobiście zresztą wojna dotknęła go mało. Jeść miał co, był „reklamowany", nikt z jego blizkich nie zginął, nie został kaleką, nie utracił całego mienia.

Nędzy współczuł, ale rozczulać się nad nią, przejmować się Władek Koszczyc nie miał ochoty ani czasu.

A że tam cały świat zdaje się walić w gruzy i poruszać w swoich posadach...

Niech sobie nad tem łamią głowy inni — on filozofować nie lubi...

Żył jak zwykle, pozostał sobą, wesołym, poczciwym, lekkomyślnym chłopcem, ze sporą dozą sybarytyzmu w charakterze.

Pani Żarnicka doskonale wyczuła go i określiła, że jest to trochę urwisz chłopak, ale będzie go można okiełznać!!...

Tak jak okiełznać można młodego, rozbrykanego konia, któremu pachnie ciepła stajnia i pełny żłób...

Władek Koszczyc zdążał do kamienicy Żarnieckich, pogwizdując. Był poirytowany na Łuniewskiego, ale nie tak znów bardzo, aby mu to miało psuć humor lub odbierać apetyt.

Łuniewski tymczasem szedł zwolna główną aleją miejskiego ogrodu. Palił papierosa za papierosem, co było u niego oznaką silnego nerwowego podrażnienia.

Między brwiami utworzyła mu się cienka zmarszczka.

Myślał o tem, że już od kilku dni nie widział Józi. Napróżno, drwiąc sam z siebie, krążył jak student koło kamienicy Żarnickich.

Napróżno upatrywał uroczej twarzy młodej kobiety na ulicy, w kościele, w miejskim ogrodzie.

Józi nie było.

— Pewnie jej wychodzić nie pozwolą te wściekłe baby!... — pienił się wewnętrznie z gniewu na Żarnicką i jej córkę. — Więżą ją! Tego cudnego, wolnego ptaka!..,

— Józia!... Józia!... — powtarzał sobie, jak oszalały, upajając się dźwiękiem jej imienia.

Paląca, dzika, niepohamowana tęsknota szarpała nim. Czuł, że musi Józię zobaczyć, musi z nią mówić, bo inaczej gotów jest popełnić coś zupełnie nieobliczalnego.

I teraz, pozbywszy się towarzystwa Władka, szedł powoli, rozglądał się uważnie, spodziewając się, że przecież może, może ją spotka.

Nagle drgnął. Krew szumiącą falą popędziła mu do głowy.

Zdawało mu się, że na zakręcie alei spostrzegł Józię.

Przyspieszył kroku, biegł prawie, nie zważając, że ten i ów z przechodniów ogląda się za nim.

Zadyszany dogonił zgrabną, jasną postać niewieścią po to, aby się przekonać, że to jest jakaś bardzo przystojna panienka, ale bynajmniej nie Józia.

Ładne stworzenie uśmiechnęło się zalotnie, ale Łuniewski rzucił spojrzenie tak pełne złości, że panienka zmieszała się i zaczęła się szybko oddalać.

— Dureń jestem ostatni!... W głowie mi się chyba miesza!... — wymyślał sobie Łuniewski. — Jak ja się mogłem omylić!... Czyż może być tutaj druga kobieta, któraby miała jej linię, jej ruchy!...

Zirytowany wyszedł z ogrodu i skierował się znowu w labirynt wązkich, dusznych ulic, o brukach rozpalonych żarem słonecznym.

Bezmyślnie zatrzymał się przed wystawą jakiegoś marnego sklepu bławatno-galanteryjnego, tak że przechodniom mogło się zdawać, iż ogląda feston z szafirowego perkalu, zwój różnokolorowych wstążek, pasiaste chustki do nosa i skarpetki zielone i czerwone w białe paski.

Wtem z bramy poblizkiego domu wysunęła się kobieta, ubrana w biały kapelusz, białą batystową bluzkę i granatową spódnicę, z wązkim czarnym lakierowym paskiem.

Szła prosto ku Łuniewskiemu równym, spiesznym krokiem. Zobaczył ją i uderzyła w niego fala nagłej radości.

Poznał Józię.

Tym razem była to rzeczywiście ona.

Józia wracała od Larchówny blada trochę, smutna i tak zamyślona, że przechodząc potrąciła lekko Łuniewskiego, a nie spostrzegła go.

Julian szybko zerwał kapelusz z głowy.

— Dzień dobry pani.

Drgnęła i podniosła głowę.

— Dzień dobry. — Brzmiało to bardzo chłodno i obojętnie.

Józia jakby niechętnie podała rękę i zaraz ją cofnęła z dłoni mężczyzny. Nie patrzyła przytem na niego i usta miała zaciśnięte.

— Dokądże pani dąży?

— Do domu.

— Odprowadzę panią.

Nie pytał, czy pozwoli się odprowadzić — pewnym siebie tonem decydował!

Józia nie odpowiedziała i spojrzała na szybę wystawową.

— Dziękuję, ale nie mogę z pańskiej uprzejmości skorzystać — powiedziała jeszcze bardziej chłodno — muszę wstąpić do tego sklepu...

— Poczekam na panią.

— O! niech się pan nie trudzi. Ja mam dużo sprawunków. Zabawię tutaj długo.

Zrozumiał, że chce się go pozbyć, ale nie miał zamiaru ustąpić.

Uśmiechnął się ironicznie.

— No, tak zanadto długo to znowu nie, bo o siódmej zamykają sklep.

Nie zmieszała się wcale. Spojrzała mu w oczy śmiało, prosto, uczciwie, bez cienia swojej zwykłej zalotności i figlarności.

— Wszystko jedno. Proszę pana bardzo, aby pan nie czekał — powiedziała spokojnie, ale z taką stanowczością, jakiej jeszcze nigdy w jej głosie nie zasłyszał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





**Ludowi otwierają się oczy:**
Poświęcenie byłej karczmy w Grębowie, oddanej na użytek Czytelni katolickiej młodzieży. Uczestnicy uroczystości poświęcenia dawnej karczmy w Grębowie.

## Ludowi otwierają się oczy.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych").

Dnia trzydziestego września 1917 roku przestała istnieć największa karczma w powiecie tarnobrzeskim, we wsi Grębowie.

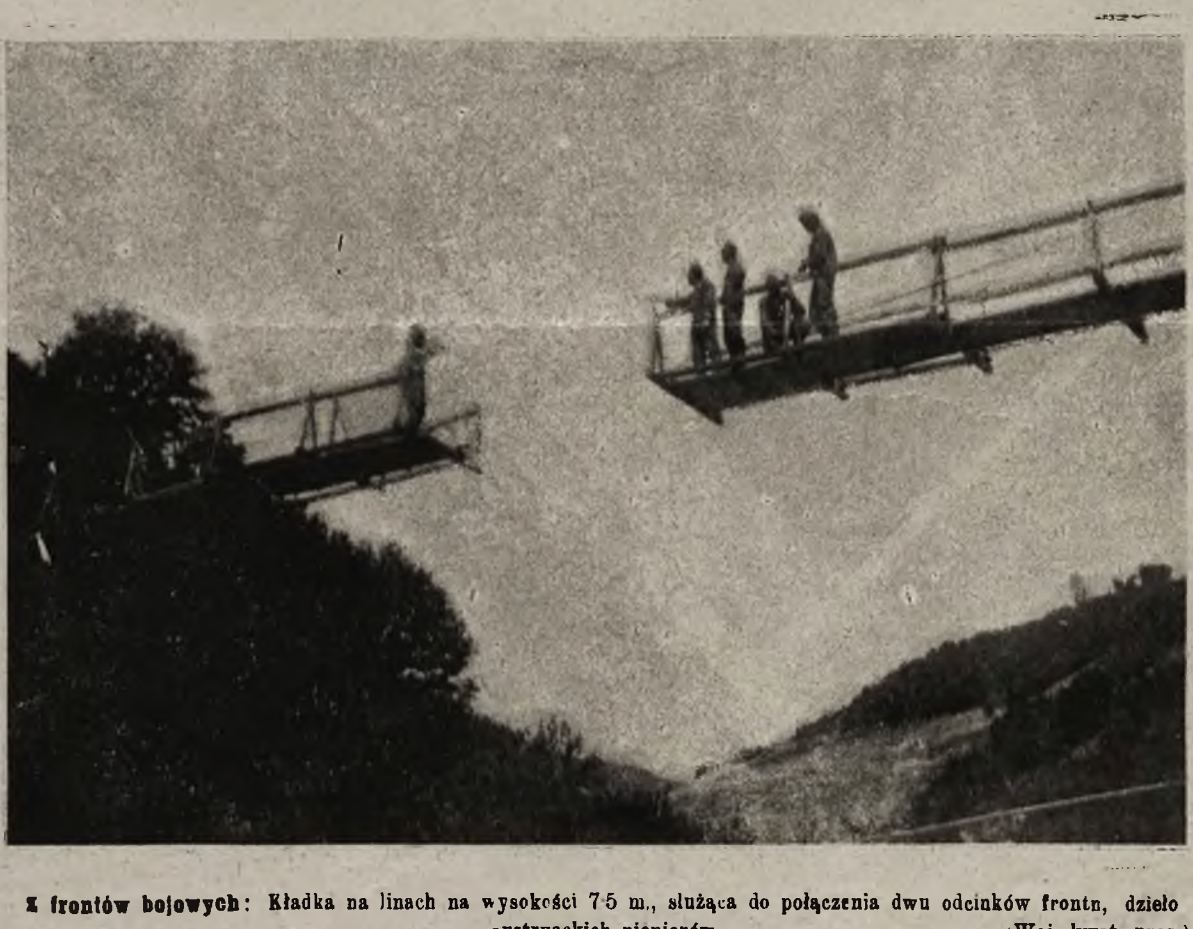
— Grębów, to wieś olbrzymia, liczy bowiem około siedmiu tysięcy dusz, samych rolników. W środku wsi, pomiędzy kościołem, szkołą, pocztą, kancelaryą gminną, domem Kółka rolniczego, Kasy spółkowej, na obszernem miejscu od czasów niepamiętnych stał ratusz, czyli zwykła karczma murowana, mająca 32 kroki długości, a 14 szerokości. Wewnątrz były różne skrytki, potrzebne dla pijaków. Karczma ta była sławna w całym powiecie: za rządów ś. p. propinacyi miała szyld wielki: „Propinacya", co noc bywały tu bitki, a największe w niedzielę. Karczmarz miał ośmdziesiąt tysięcy koron rocznie czystego zysku.

Ale nie powinien nikt w kraju, śmiać się z tej karczmy w Grębowie, bo przecież w Galicyi mamy 6 tysięcy wsi i miast, a karczem mamy 35.000. Dlatego mamy 4 wielkie kryminały, a tylko 2 uniwersytety, 46 szkół średnich, a 200 aresztów, 960 gorzelni a 900 kościołów, 4000 szkół ludowych, a 35.000 karczem. Mamy 35.000 karczmarzy, którzy zbierają rocznie tysiące czystego zysku, podczas gdy nauczyciel ludowy ma 800 koron, a ksiądz wikary 600 koron rocznie pensyi.

Walki z karczmą toczą się oddawna, ale karczmy są tak zbudowane i dobrze zorganizowane, że żadna władza nie jest w stanie ich usunąć. Przez Galicyę przeszły teraz w czasie wojny wszelakie wojska i narody, przeszły i znikły, ale karczmy zostały i pierwsze się z gruzów dźwigają.



**Cesarz Wilhelm w stolicy Bulgaryi:** Cesarz Wilhelm w towarzystwie cara Ferdynanda w drodze do zamku królewskiego. (Fot. Bufa).



**Z frontów bojowych:** Kładka na linach na wysokości 75 m., służąca do połączenia dwu odcinków frontu, dzieło austryackich pionierów. (Woj. kwat. pras.)

Wprawdzie rząd na czas wojny kazał zamknąć karczmy, ale co się stało? Karczmy zamknięte, a liczba szynkarzy się podwoiła, rozpoczęli bowiem pokątny handel spirytualiami.

Z niesłychaną więc radością zapisaliśmy dzień 30 września, jako dzień zwycięstwa trzeźwości nad kieliszkiem w Grębowie. Dzień ten jest dla nas chlubą i weselem, ubywa bowiem na zawsze jedna karczma z dochodem 80.000 koron rocznie. Bogu chwała, mamy tylko już w Galicyi 34.999 karczem, o jedną karczmę mniej! To znaczy ogromnie dużo. Zasługa to Czcigodnego Ks. Józefa Kasprzyckiego, kanonika i proboszcza tej wielkiej parafii i młodego pana Seweryna Dolańskiego, właściciela dóbr w Grębowie, który tysiącznych dochodów z karczmy wyrzekł się i zadarmo budynek wraz z gruntem wokoło oddał ks. proboszczowi do dyspozycyi. Karczmę przerobiono i odnowiono i 30 września 1917 oddano ks. proboszczowi. Gdy się ludność w parafii o dniu uroczystości dowiedziała, prosiła o Mszę św. i kazanie, na podziękowanie Panu Bogu za to zwycięstwo.

Na poświęcenie karczmy zjechała się ludność z powiatu bardzo licznie, zebrała się cała parafia, tysiące ludzi przybyło.

Po Mszy św. i kazaniu wyruszyła procesya olbrzymia z chorągwiami i obrazami i obeszła wokół karczmę. Podczas pochodu grała miejscowa kapela. Wielu uczestników płakało ze wzruszenia. Ks. prałat Rudnicki z Wielowsi wygłosił bardzo pouczającą mowę, a potem poświęcił karczmę i wypędził

ostatnie złe duchy, trujące nieszczęśliwy, a najlepszy lud polski. Ks. proboszcz Kasprzycki oddał dawną karczmę na Czytelnię katolicką dla młodzieży z całej parafii.

Chłopcy są zorganizowani w Bractwo młodzieży katolickiej i ten dom jemu właśnie oddano.



**„Kolorowe“ wojska w wojnie światowej:** Typy żołnierzy senegalskich. (Fot Bufa.

Na zakończenie zwracam się z prośbą najserdeczniejszą do Grębowiaków, ażeby z całych sił pomagali w tej rozpoczętej zbożnej pracy, żeby już ani ta karczma, ani też żadna inna obok niej nigdy nie odżyła. Trud ciężki czeka całą parafię, bo wiele lat musi się pracować, ażeby złe naprawić. Podnoszę też myśl, ażeby pisma polskie prowadziły wykaz imienny tych wsi, w których karczmy i karczmarze upadli, które wyzwoliły się od największego nieszczęścia, gnębiącego lud polski.

*Wojciech Wiącek* z Machowa.

## Cesarz Wilhelm w stolicy Bułgaryi.

W dniu 11. października bieżącego roku bawił cesarz niemiecki Wilhelm w Sofii. Cesarz przybył w towarzystwie księcia Augusta Wilhelma i sekretarza stanu Kühlmanna, w otoczeniu licznej świty. Na dworcu powitał dostojnego gościa król Ferdynand, ministrowie i ciała dyplomatyczne. Powitanie było bardzo serdeczne. W przejeździe do pałacu był cesarz przedmiotem burzliwych owacyi ze strony zgromadzonej tłumnie ludności.

Przed obiadem galowym, król Ferdynand wraz z prezydentem ministrów i generalissimusem wręczył cesarzowi imieniem narodu bułgarskiego i armii order waleczności pierwszej klasy z brylantami. Cesarz serdecznie podziękował i zamianował króla bułgarskiego szefem 10 pruskiego pułku huzarów.

W czasie obiadu wygłosili obaj monarchowie toasty.

Ponieważ na czas pobytu cesarza przypadał w Sofii dzień jarmarczny, skorzystali ze sposobności cesarz i król, by zwiedzić jarmark. Wieśniacy otoczyli powóz monarchów i zgotowali im entuzyastyczne przyjęcie. Monarchowie wysiedli z powozu, wmieszali się w tłum i rozmawiali z wielu osobami.

## „Kolorowe“ wojska w wojnie światowej.

Wojnę obecną słusznie nazywają światową. Bo choć toczy się głównie na kontynencie europejskim, gdzie może tylko nastąpić decydujące rozstrzygnięcie, biorą w niej udział ludy całego świata.

Pomijając Amerykę, która dopiero teraz ma wstąpić w szranki bojowe, już od początku wojny w szeregach walczących armii znaleźli się przedstawiciele narodów ze wszystkich części świata. Już armia rosyjska, w skład której wchodzą różne szczepy azyatyckie, przedstawia istną mozaikę narodowościową. Prześciga ją jednak pod tym względem armia angielska, złożona w znacznej części z wojsk kolonialnych z Indyi, Australii, Afryki południowej i Ameryki (Kanada). Najjaskrawszą wszakże mozaikę tworzy armia francuska, w skład której wchodzą „różnokolorowe wojska“ kolonialne. W szeregach francuskich walczą Senegalczy, Somalisi, Dahomejczycy i wogóle najrozmaitsze plemiona murzyńskie z Azyi i Afryki.

Typy tych „kolorowych“ obrońców Francyi przedstawiają nasze illustracye, na których widzimy wziętych do niewoli jeńców francuskich, pochodzących z Tunisu, z Anamu, z Sudanu, z Gwinei i z innych kolonii francuskich.



**Z frontów bojowych:** Ruiny kościoła w Langemark we Flandryi.

# Z frontów bojowych.

Mimo zbliżającej się zimy i mimo jesiennej szarugi operacye na frontach nie ustają. Wszystko wskazuje na to, że obie strony walczące szukają jakiegoś poważnego rozstrzygnięcia jeszcze w bieżącej jesieni.

Na pierwszy plan wysuwa się rozpoczęta w tych dniach nowa ofenzywa przeciwko Włochom. „Oester. Morgenztg.“ przynosi za zezwoleniem wojennej kwatery prasowej następującą relacyę o pierwszem uderzeniu tej ofenzywy, która, jak wiadomo z ostatnich telegramów, skończyła się panicznym odwrotem Włochów z zajmowanych dotychczas stanowisk:

Podobnie jak w południowym Tyrolu, rozpoczęły się walki równie nad górnym biegiem Soczy. Austro-węgierskie i niemieckie dywizye połączyły się tutaj i podjęły ofenzywę. Po dokładnych i bardzo obszernych przygotowaniach, które zakończyły się nagłym i bardzo gwałtownym ogniem huraganowym dział najcięższego kalibru, wystąpiły austryackie i niemieckie kolumny do ataku, na froncie mierzącym 35 kilometrów. Punktami oparcia są: kotlina Flitsch i przyczółek mostowy pod Tolmainem. Są to jedyne dwa punkty po prawym brzegu Soczy, które pozostały w rękach wojsk austryackich i obecnie stały się bramą wypadową dla ofenzywy przeciwko Włochom.

Rombon, wznoszący się na 2 208 metrów po stronie północnej kotliny Flitsch, jest zarazem punktem obrotowym frontu, ktory z kierunku północnego skręca ku wschodowi.

Kolumny atakowe austryackie i niemieckie, pod ochroną stanowisk na Rombonie, wypadły z jarów Korytnicy i rozwinęły się w kotlinie Flitsch.

Artylerya spisała się świetnie. Szeregi atakujące wpadły do rowów włoskich, zanim załoga ich mogła się spostrzedz. Spieszące na pomoc posiłki włoskie zostały zatrzymane ogniem zaporowym artyleryi.

To początkowe powodzenie jest doniosłe, gdyż pomiędzy Flitschem a Tolmeinem wezbrana Socza opisuje łuk w kształcie litery „S“. Po jego wschodniej stronie znajduje się potężny grzbiet górski Krn, na którym obie strony walczące mają swoje linie. Planowy nacisk na te pozycye od strony Tolmeinu i Flitschu zagraża znajdującym się tutaj pułkom włoskich „alpini“ obejściem, a nawet wpadnięciem na tyły ze strony wojsk austryackich.

Na południe grzbietu Krn wystaje góra Wierch ku południowi w stronę Tolmeinu. Miasto Tolmein leży nad lewym brzegiem Soczy, ale austryacki przyczółek mostowy przechodzi koło wsi Dolje na drugą stronę rzeki i opiera się o dwie skały: S. Maria i S. Lucia. Tutaj bośniackie pułki odparły



**„Kolorowe“ wojska w wojnie światowej**: Egzotyczni żołnierze koalicyi z Senegalu (1), Nowej Gwinei (2), kraju Somalisów (3), Tunisu (4), Anamu (5), Sudanu (6) i Dahameju (7). (Fot. Bufa)

wszystkie ataki włoskie. Santa Lucia broni przystępu w dolinę Idryi, którą od Soczy oddziela wyżyna Bainsizza—Duch św. Tę wyżynę armia włoska pod wodzą generała Capello, w jedynastej bitwie nad Soczą zajęła aż po Lokwicę. Teraz Włosi stracili całą tę przestrzeń.

Ogień kilkuset nowych i dawnych bateryj padał na Woloczak—Selo i Lom z niebywałą siłą. Cały grzbiet Kolowratu zniknął w dymie, ogniu i deszczu kamieni. Potem ściana ognia posunęła się poza włoskie stanowiska, już zmiażdżone, a wtedy kolumny austryackie i niemieckie poszły do ataku z grot na St. Lucia, z pod Sela i z wyżyny Bainsizza. Włosi bronili się dzielnie.

Z góry Kolowrat nieprzyjacielskie baterye i miotacze min siały zniszczenie. Tę strefę ognia przebiegły kolumny atakowe pędem. Santa Lucia ma 885 metrów wysokości. Kolowrat pod Woloczakiem



**Z frontów bojowych**: Zasieki z drutu kolczastego, zamykające dostęp do mostu na południowo-zachodnim froncie. (Woj. kwat. pras.)

900 metrów, trzeba więc było przebiedz 300 metrów wzniesienia.

Tuż poza Kolowratem, który tworzy granicę państwa, teren zaczyna obniżać się w stronę doliny weneckiej. Wojska sprzymierzone posuwają się ciągle naprzód, zabierając jeńców".



Gabinet geoplastyczny.

**Wystawa skautowa w Krakowie:**



Sala ze zbiorami okazów pionierskich i technicznych

Poza rozpoczętą w dniu 24. zeszłego miesiąca ofenzywą na froncie włoskim najważniejszem wydarzeniem są operacye francuskie koło Soissons, o których przypomnieć trzeba, że Francuzi około pięć miesięcy gromadzili swe siły, aby podjąć nową akcyę zaczepną. W ostatnim czasie przeprowadzili z większych operacyj jedynie uderzenie pod Verdun. Obecny front północny pod Verdun biegnie od Avocourt przez Bethincourt, Regnaville, Samognieux ku Beaumont, następnie północnym brzegiem lasu Fosses ku Bezonvaux poza lasem Hardaumont ku południowi, to jest tworzy linię, jaką wojska niemieckie zajmowały przed ostatnią wielką ofenzywą na Verdun.

Obecnie celem ataku francuskiego, podjętego na północny wschód od Soisons, jest Lens. Nie po raz pierwszy kuszą się Francuzi o przełamanie niemieckiego frontu w tym właśnie punkcie. Odcinek ten stanowi bowiem rodzaj węzła frontu w dwu kierunkach ku Reims i ku St Quentin. Tutaj znajduje się także Chemin des Dames, o którego posiadanie od roku przeszło toczą się zacięte walki. Laon niejednokrotnie znajdowało się pod ogniem dalekonośnych dział francuskich.

We Flandryi Anglicy prowadzą dalej bez przerwy swe ataki, zyskując pomimo olbrzymich ofiar nieznaczne tylko sukcesy.

Operacye na froncie północnym w zatoce Ryskiej zostały w pierwszej swej fazie zakończone. Zajęcie kompleksu wysp Ozylii, Dagö i Moon oddało w ręce Niemców nową podstawę do operacyj przeciw północnemu frontowi rosyjskiemu. Nadchodzą wiadomości, wskazujące, że zdobycie tych wysp wywołało wielkie niepokoje na wyspach Alandzkich u wybrzeży Finlandyi, którym może grozić podobny los. Obecnie aktualnem staje się pytanie, czy Niemcy wykorzystają swe powodzenie i spróbują wylądować korpus ekspedycyjny w północnej części Estonii. Za punkt wyjścia służyćby mogły dwa porty w Pernau i Hapsal. Zwłaszcza ten ostatni, ponieważ może być doskonale zabezpieczony od strony morza stoi na pierwszym planie. Niebawem rozstrzygnie się pytanie, czy Niemcy przed zimą pójdą na Petersburg, czy też nie.





**Z frontów bojowych:**

Zniszczony zupełnie pociskami armatnimi starożytny kościół w Bixchoote we Flandryi.

Zniszczony przez włoskie pociski ołtarz w zamku Duino. Posąg Matki Boskiej pozostał nieuszkodzony. (Woj. kwat. pras.).

Piotr Zaccone

# Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

21

— Biedna, droga Gilberta! — szepnął przeczytawszy — Prosi mnie bym ją jutro odwiedzić przyszedł.

— Tak, tak, wiem o tem. — przyświadczyła skwapliwie stara — Powiedziała mi to sama. Kochane dziecko, tak się cieszy, gdyby ją pan widział. Podobno pułkownik zgadza się już na wszystko!

— Czy być może? — zawołał Jerzy. nie mogąc uwierzyć tym radosnym słowom.

— Czyżby była pisała, gdyby było inaczej?

— A więc ona sama wręczyła pani ten list? — badał jeszcze młody człowiek.

— Naturalnie.

— Teraz, przed chwilą?

— Tak, zaledwie parę minut temu.

— A więc ona tu jest blisko? — zawołał Jerzy, blednąc ze wzruszenia.

— Chciałby się pan może z nią zobaczyć?

— Oh! Pani Bruchon! Moja pani Bruchon! Gdyby to tylko było możliwe!

Stara potrząsnęła komicznie głową i zastanowiła się chwilę.

— A zresztą — rzekła wkońcu — dlaczegóżby nie. Jeżeli to ma być pozwolone jutro, to dlaczegóż nie dzisiaj jeszcze. Przypuszczam, że tamten o to gniewać się nie będzie.

— A więc pani się zgadza?

— Zgadzam, bo cóż mam robić. Ja widzi pan miałam zawsze jakąś skłonność do zakochanych. Kiedy byłam młoda, nie byłam nigdy okrutną dla swoich przyjaciół.

— Oh! Widzieć ją! Widzieć! — zawołał Jerzy — Choćby jedną minutę!

— A więc nie powie pan, że mu odmówiłam tej przyjemności. Zresztą jestem przekonana, że ta biedna mała również gorąco pragnie widzenia się z panem. Rzecz więc postanowiona — niech pan idzie za mną.

Kilka minut później Jerzy siedział w pokoju Gilberty wpatrzony w nią z zachwytem i wdzięcznością. W pierwszej chwili był tak oszołomiony. że nie wiedział co się z nim dzieje.

— Droga, droga Gilberto — szeptał wzruszonym głosem — odnajduję cię wreszcie. Myślałem, żeś już na zawsze stracona dla mnie i zdawało mi się, że umrę z tęsknoty za tobą. Gdybyś wiedziała, jaki byłem zrozpaczony i zgnębiony! Ale teraz wszystko to już minęło, jesteś przy mnie, widzę cię, mogę się cieszyć widokiem twoim. Co to za szczęście dla mnie, Gilberto! Co to za szczęście!

Mówiąc to, pochwycił młodą dziewczynę w ramiona i gorąco przycisnął do piersi. Gilberta chciała się lekko wyswobodzić, ale ogarnęło ją tak słodkie i nieznane uczucie, że bezsilna wsparła głowę na ramieniu Jerzego i nie opierała się już jego pieszczotom.

— A więc to prawda. — mówił dalej Jerzy — pozwalają nam nareszcie widzieć się z sobą. Wszelkie przeszkody istniejące dotąd między nami znikły zupełnie! Wolno nam teraz kochać się otwarcie i wkrótce już na zawsze należeć do siebie będziemy.

Gilberta uśmiechnęła się radośnie.

— Tak, tak. mój Jerzy. — rzekła, patrząc na niego z miłością — Pułkownik nie znał cię dobrze. Obawiał się, że oszukaną przez ciebie zostanę i nie chciał patrzeć na moje cierpienia. Ale powziął o tobie różne wiadomości i teraz jest już spokojny i wierzy, że nie umieściłam źle swojej miłości. Ach! Jerzy! On jest naprawdę dobry dla mnie i musisz go także kochać!

— Zmiana ta nagła jest jednak dosyć dziwna. — zauważył Jerzy.

— Dlaczego?

— Ostatni raz, jak widziałem pułkownika, okazał się bardzo surowym dla mnie i niesprawiedliwym, pamiętasz Gilberto?

— Nie trzeba już o tem myśleć. Powyśl lepiej, mój kochany, że teraz winna mu jestem wdzięczność głęboką. On to zajął się dzieciństwem mojem i wyrwał z otoczenia, gdzie byłabym z pewnością śmierć znalazła. Co byłoby się ze mną stało, gdybym go była nie spotkała na swojej drodze? Wierzę, że Bóg zesłał mi go na ratunek — i to są rzeczy, Jerzy, których mi nie wolno nigdy zapomnieć! Czy i ty nie jesteś mojego zdania?

— Owszem Gilberto, a jednak...

— Co jeszcze?

— Szukam, jaki cel mógł mieć...

— Dlaczego się upierać i wyszukiwać koniecznie jakichś podejrzeń. — przerwała szybko młoda dziewczyna — Co do mnie, wierzę mu zupełnie. Jeżeli przez chwilę miałam żal do niego, za to, że nas rozłączył, to obecnie zapomniałam już o wszystkiem, odkąd radość zagościła w mojem sercu.

— Kochanie ty moje. — szepnął Jerzy, obejmując ją spojrzeniem pełnem uwielbienia.

— Nie mówny więc już o tem, Jerzy. Nie widzieliśmy się miesiąc prawie — musisz mi mieć wiele rzeczy do powiedzenia nieprawdaż?

— O, tak, Gilberto! Bardzo wiele!

— Ja byłam taka sama przez ten długi czas, Jerzy. Ciągle tylko myślałam o tobie. Ale ty? Co robiłeś? Chcę wiedzieć wszystko!

— Mam wiele do powiedzenia, ale przecież ty to wszystko wiesz już, Gilberto! — odpowiedział Jerzy — Wiesz, że tylko o tobie myśleć mogłem i czułem się bardzo nieszczęśliwy. Kilka razy nawet chciałem uledz pokusie i przybiegnąć tu do ciebie.

— Co za nieostrożność, Jerzy!

— Mówiono mi to właśnie.

— Kto taki?

— Człowiek, któremu zaufać mogę w zupełności i który uczynił dla mnie to, co pułkownik dla ciebie, moja Gilberto.

— Pan Cypryan Leduc? Krewny twój?

— Nie, przyjaciel. Znał moją matkę, która już nie żyje i kilka razy udawał się do Saint-Nicolas, aby pomodlić się na jej grobie.

— Oh! Jaki zacny człowiek. Wierzę, że kochać go musisz. Ale powiedz mi, Jerzy, czy nie mówiłeś przed chwilą, że matka twoja pochowaną jest na cmentarzu w Saint-Nicolas?

— Rzeczywiście.

— Więc pochodzisz stamtąd?

— Urodziłem się tam. Zdaje mi się, że ci już o tem wspominałem dawniej.

— Nie, nigdy.

— Ten szczegół nie był ważnym dla ciebie i nie mógł cię interesować.

— Kto wie? — szepnęła Gilberta, zamyślając się — Kto wie, Jerzy?

— Co ci jest, Gilberto?

— Nic... nic... — odparła — ale jednak to dziwne.

— Wytłumacz się jaśniej.

— Mówiłam ci już, Jerzy, nieprawdaż. że kiedy byłam jeszcze małem dzieckiem, chowałam się razem ze siostrą u pewnego robotnika, którego nazywano Szymonem stolarzem.

— Przypominam sobie.

— Wspomnienie to zaczyna się zacierać w mojej pamięci. Jestem przekonaną, że gdybym dzisiaj spotkała moją siostrę, nie poznałabym jej.

— No i co dalej, Gilberto?

— Ach! Tak... Ale jest nazwa pewna, która mimowoli na usta mi powraca, tej nazwy zapomnieć dotąd nie mogłam.

— Czyżby to było Saint-Nicolas?

— Tak, właśnie.

— Obok Marsylii?

— Tak, tak, obok Marsylii.

— Ale w takim razie — podjął Jerzy ze zdumieniem — pochodzilibyśmy z jednej miejscowości i z tego samego miasteczka?

Jerzy ujął ręce Gilberty, ale ona ze wzrokiem zapatrzonym gdzieś w przestrzeń odsunęła go lekko od siebie i mówić zaczęła cichym głosem:

— Moja biedna siostra. Co się z nią stać mogło? Oh! Jerzy, to także jedno ze zmartwień mojego życia. Cóżbym dała za to, aby ją zobaczyć, aby wiedzieć, że jest szczęśliwa.

— Dlaczego ona opuściła ciebie, Gilberto?

— Nie wiem. Przypominam sobie tylko, że jednej nocy ten Szymon, o którym ci mówiłam, chciał ją pocałować — a ona zaczęła uciekać po pokoju, bo gonił ją i groził okropnie! Oh! Doskonale widzę teraz tę scenę! Byłam małem dzieckiem wówczas i nie rozumiałam. Wiem to tylko, że nazajutrz rano moja biedna siostra opuściła ten dom na zawsze.

— I nie widziałaś jej więcej?

— Nigdy!

Jerzy serdecznym ruchem przytulił do siebie młodą dziewczynę.

— Nie martw się tak, moje kochanie — wymówił wzruszonym głosem. — Odtąd dwoje nas będzie myśleć o niej. Będziemy razem szukać, przetrząśniemy Paryż cały i z pomocą pana Cypryana Leduc, mam nadzieję, że przecież zdołamy ją odnaleźć. Nie martw się więc Gilberto, bo wszystko jeszcze na dobre zmienić się może.

— O! Gdyby tak było naprawdę — zawołała młoda dziewczyna. — Bo widzisz Jerzy, teraz więcej niż kiedykolwiek chciałabym się z nią spotkać! Chciałabym wypowiedzieć jej całą radość moją i szczęście, jakie mnie czeka w przyszłości. A może ona również mnie poszukuje — a może pewną jest, że umarłam z nędzy tam, w domu tego niedobrego Szymona? Ale wiesz, coś mi mówi, że nie powinnam tracić nadziei, że wkrótce skończy się nasza rozłąka i spotkamy się prędzej może, niż się tego spodziewam.

W tej chwili zegar, znajdujący się w pokoiku Gilberty, wydzwonił godzinę jedenastą.

— Oh! Już tak późno! — zawołała, powracając nareszcie do rzeczywistości. — Musimy się rozłączyć, Jerzy! Już jedenasta godzina.

— Jak prędko czas ten przeminął — odparł młody człowiek z żalem.

— Nie możemy dłużej nadużywać dobroci pułkownika i przez nieostrożność narazić się znowu na jego gniew. A zresztą wiesz, muszę ci się przyznać, że pomimo najsilniejszych rozumowań, lękam się o ciebie.

— Ależ czego się lękać. dziecko!

— Nie wiem — wszystkiego — tej nocy ciemnej w oddalonej dzielnicy...

— Odchodzę więc. Wkrótce już rozłączać się nie będziemy.

— Tak, tak, idź już mój Jerzy. Zobaczymy się jutro. Pisałam do ciebie i odebrałeś mój list, prawda? Więc jutro o dziewiątej.

— Tak, o dziewiątej.

— Do jutra, Jerzy...

— Do jutra, Gilberto.

Młoda dziewczyna towarzyszyła mu aż do klatki schodowej, a kiedy odgłos jego kroków przebrzmiał na schodach i zginął na ulicy, szczęśliwa i uspokojona powróciła do swojego pokoju.

Jednakże po wyjściu Jerzego zaszło coś takiego, coby napewne obudziło niepokój i obawę Gilberty, gdyby mogła była o tem wiedzieć.

Jerzy wyszedł już z domu i kierował się ścieżką, prowadzącą na ulicę, kiedy nagle zatrzymał się na miejscu.

Idąc wzdłuż murów, zdawało mu się, że słyszy głos, wymawiający zduszonym szeptem następujące słowa:

— Tak! To on!

Jerzy odwrócił się zaintrygowany. Aleja tonęła w zupełnym zmroku, ale od domu jakiegoś przez napół uchylone drzwi padał promień światła.

Jerzy spojrzał bystro wokoło i ujrzał dwoje oczu błyszczących w zmroku. Jerzy był odważnym i śmiałym. Jednakże dziwny jakiś lęk opanował go; postąpił parę kroków naprzód, ale w tej samej chwili drzwi się szybko zamknęły i ciemność zupełna zaległa ulicę.

Zawahał się chwilę, nie wiedząc, co robić. Cóż go wkońcu obchodzić mogło to, co się tu działo? Może to była stara Bruchon, która wiedziona ciekawością, w towarzystwie sąsiadki podpatrywała, co się dzieje w dzielnicy. Nie warto było zatrzymywać się dla tak błahego powodu, więc Jerzy poszedł swoją drogą, nie oglądając się już poza siebie.

Nie mylił się w przypuszczeniach. Była to rzeczywiście stara Bruchon, ale nie była sama, towarzyszyła jej Olivia i jej to głos przyciszony i gorący dobiegł Jerzego przed chwilą.

— — — — — — — — — — —

Aby wyjaśnić uczucie, które popchnęło Olivię do udania się do Belleville, potrzebnem jest wrócić się do pewnego wydarzenia, które wywarło wielkie wrażenie na umysł młodej kobiety.

Podczas zabawy, wydanej przez pułkownika Robert w willi jego na polach Elizejskich, Olivia, ukrywając się pod maską, miała krótką rozmowę z Jerzym.

Od pewnego już czasu widok jego budził w niej gwałtowne uczucia. Wrażenie to zamieniło się wkrótce w miłość głęboką. Jak większa część kobiet, do rzędu których należała, Olivia w miłości tej umieściła wszystko, co w sercu jej odnalazło się jeszcze z uczuć serdecznych, nie pytając, dokąd ją to zaślepienie zaprowadzić może. Do tej pory młoda kobieta nie kochała

jeszcze, a nawet długi czas nie czuła potrzeby silniejszego przywiązania. Hałaśliwe życie, prowadzone z dnia na dzień, nie pozwalało zastanawiać się jej głębiej nad sobą. Życie to wystarczało jej na razie i nie pragnęła innego. Ale w dniu, w którym poznała Jerzego, zaszła w niej nagła zmiana. Nie wiedziała, jak się to stało, ale odtąd zdawało jej się, że nie żyła jeszcze prawdziwie i odkryła w sobie porywy i uczucia, których nie znała przedtem.

Pragnęła być kochaną przez tego, który stał się powodem tej zmiany gwałtownej i przystąpiła do urzeczywistnienia swoich marzeń z silnym uporem i stanowczością, tak, jak gdyby chodziło o przyszłość jej całą.

Ogarnęła ją jedna tylko myśl, jedno dążenie: Jerzy! Chciała go widzieć, mówić z nim, słyszeć od niego, że jest piękną i kocha ją.

Obojętność, którą napotykała od początku, podrażniła ją tylko, a nie zniechęciła.

Miała godziny buntu szalonego, rozpaczy i żalu, którym jednak towarzyszyła skryta nadzieja zwycięstwa. Odnalazła nawet w nieszczęściu swojem dziką radość, tak silnie opanowaną była nieznanemi jej dotąd uczuciami. Dotknięta miłość własna spotęgowała tylko jej pragnienie i, nie zastanawiając się, ślepo szła naprzód, pchana siłą, której nie starała się nawet zwalczać.

Raz nawet zdawało jej się, że tryumf jest bliski. Było to na zabawie w willi pułkownika. Ale tej nocy tyle intryg innych rozwijało się wokoło, jej los własny tak ściśle związany był z katastrofą, dotyczącą barona d'Esclairs, że nie zdołała wyzyskać dostatecznie sytuacyi.

Zresztą i na nią samą wówczas czyhało niebezpieczeństwo.

Zaledwie bowiem opuściła zabawę i powróciła do swojego mieszkania, uczuła się tak słabą, że była zmuszona zawezwać lekarza, który zbadawszy ją, orzekł, że choroba jej może być nawet śmiertelną.

Przypomniała sobie wówczas pierścionek, wręczony jej przez pułkownika Robert'a i nabrała przekonania, że jest już na zawsze stracona.

Od tej chwili nie mogła już myśleć o czem innem. Jasnem było, że pułkownik miał zamiar otruć ją, ponieważ odkrył, że należała do rodziny Bonnet'ów, nad którą zawisł już był nieodwołalny wyrok śmierci. A więc pułkownik był tym tajemniczym mordercą, na którym ciążyło już kilka zbrodni i który dotąd odkrytym jeszcze nie został.

Przekonanie to spotęgowało gorączkę męczącą ją noc całą, nad ranem nawet straciła przytomność umysłu i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokoło niej działo. Czuła tylko niewyraźnie, że przeniesioną została do innego mieszkania, ale o rzeczach i osobach ją otaczających nie miała jasnego wyobrażenia.

Kiedy nareszcie przyszła do przytomności i normalnie myśleć zaczęła, nie wiedziała, jak długo trwała jej choroba od chwili opuszczenia willi pułkownika. Gdzie była? Kto czuwał nad nią?

Nie poznała pokoju, w którym leżała i w pierwszej chwili po przebudzeniu, wzrok jej zamglony padł na człowieka, siedzącego w nogach łóżka. Olivia była prawie pewną, że twarz tego człowieka już gdzieś widziała.

Co chciał od niej i dlaczego znajdował się tu, w jej pokoju. Chciała się unieść na poduszkach, lecz nieznajomy powstrzymał ją natychmiast ruchem ręki.

– Kto pan jesteś? – zapytała wkońcu ledwie dosłyszalnym głosem, starając się obudzić w zmęczonej głowie wspomnienie jakieś.

– Przyjaciel! – brzmiała odpowiedź.

– Nazwisko pana?

– Buvard.

– Czego pan tu chce?

– Czego chcę? – zaśmiał się – Chcę poprostu ocalić życie pani.

– Jestem więc zagrożona niebezpieczeństwem? – zapytała z wysiłkiem.

– Była pani o krok od śmierci.

– A któż mnie przywrócił do życia?

– Ja.

– W jakim celu – co pan miał w tem za interes?

– Przedewszystkiem chodziło mi o panią... a potem, działałem w imieniu sprawiedliwości.

– A więc nie pomyliłam się – szepnęła Olivia – stałam się ofiarą...

– Zbrodniczego zamachu. – dokończył Buvard – Tak, chciano otruć panią. Przypomina sobie pani, jak widzę – to dobry znak.

– Ale któż to?

– Wszystko nadejdzie o właściwej porze. Już pani lepiej, to widoczne, a to rzecz główna. Co zaś do reszty, potrzeba nam wiele przebiegłości i ostrożności.

– Gdzież ja jestem?

– W Saint-Mande. W domu, gdzie nikt pani poszukiwać nie będzie. Opuści go pani wówczas dopiero, kiedy pani powróci całkiem do zdrowia.

– Czy to prędko nastąpi?

– Za kilka dni.

Młoda kobieta odetchnęła głęboko, poczem podjęła znowu:

– Chciałabym jeszcze...

– Co takiego?

– Zapytać się.

– Proszę mówić.

– Pozostanę tutaj sama, a ponieważ, jak pan mówi, nie wiedzą, gdzie przebywam, nikt nie będzie mógł mnie odwiedzić.

– Czy pragnie pani widzieć kogo?

– Barona d'Esclairs.

– To niemożliwe. Baron miał sprawę z pułkownikiem i jeszcze nie przyszedł do zdrowia.

– Jest ranny?

– Tak, ranny. To wielkie szczęście, że nie umarł z tej rany.

– A więc, skoro pan nie może mi przyprowadzić barona, to poproszę pana o ułatwienie innej osobie przyjścia tutaj.

– Komuż to?

– Chce widzieć pewną kobietę, którą znałam niegdyś. Jest ona bardzo dyskretna, sądzę, że będzie mi mogła dać jakieś wiadomości o niektórych osobach, na których mi zależy.

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Pani Bruchon.

– Hm! Hm! – mruknął Buvard, zamyślając się głęboko i patrząc z pod oka na Olivię.

– Dyskretna! Być może – odparł, krzywiąc się – ale to kobieta, która nie działa nigdy bez osobistego interesu, a to rzecz niebezpieczna. Jednakże zobaczymy jeszcze.

– Ja się tak nudzić tu będę – skarżyła się młoda kobieta – szczególniej teraz, kiedy już powróciłam całkiem do zdrowia.

– To prawda. – poświadczył Buvard, patrząc na nią ze współczuciem.

– Zgadza się pan?

– Przyślę do pani jutro starą Bruchon.

– Oh! Dziękuję panu.

Nazajutrz więc Olivia mogla przyjąć u siebie starą handlarkę i, wypytawszy ją dokładnie o to, co mówiono w mieście o zabawie pułkownika Robert, i jej nagłem zniknięciu, przystąpiła do jedynej kwestyi, która interesowała ją bliżej – do Jerzego.

Zdziwiła się niemało, usłyszawszy od starej Bruchon, że młody człowiek stał się naraz bogatym, że posiada wspaniały powóz i konie, którymi przejeżdżał nieraz po lasku Bulońskim.

Olivia nie umiała sobie tej zmiany wytłumaczyć.

– Oh! Jakże go pragnę zobaczyć. – wyrzekła wzruszonym głosem.

– To, skarbie mój – odparła stara – jest zupełnie niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo, zdaje mi się, że chłopiec jest dobrze strzeżony zdaleka.

– Przez kogo?

– Tego wiedzieć nie mogę. Ale wiesz już co ci mówiłam o nim dawniej. On zajęty jest inną osobą, a twoje szanse...

– Co mi tam! To drobiazg! – zawołała żywo młoda kobieta.

– Mylisz się moja kochana. W jego wieku może to mieć wielkie znaczenie.

– Ależ, kogo on kocha? – zapytała Olivia, ze złością zagryzając wargi.

– Bardzo milutką osóbkę, którą znam i nad którą kazano mi czuwać.

– A więc ona jest u ciebie?

– Tak, na ulicy Pixecourt.

– A on ją widuje?

– Nigdy.

– Jakże ją kochać może, kiedy nie widzi jej wcale? Tego zrozumieć nie mogę.

– Czy ty kochasz go mniej, odkąd go rzadziej widujesz, moja kochana?

– A więc odmawiasz mi, mamo Bruchon? – zapytała z rozdrażnieniem Olivia.

– Tego jeszcze nie powiedziałam – odrzekła stara – tylko mnsisz być cierpliwa i pozwolić mi przygotować teren.

– Będziesz z nim mówiła?

– Obiecuję ci to.

– I przyprowadzisz go tutaj? – prosiła błagalnym głosem Olivia.

Stara zmrużyła powieki.

– Dobrze! Dobrze! – rzekła – Widzę, że ci się dobrze wkradł do serca. Zrobię wszystko, aby cię zadowolnić. Czy jesteś spokojna?

Po tej rozmowie stara handlarka kilkakrotnie jeszcze odwiedziła młodą kobietę. Ale dotąd zamiary jej nie odniosły żadnego skutku. Cierpliwość Olivii była już doprowadzona do ostateczności. Całą siłą woli powstrzymywała się, aby sama nie przedsięwziąć w tym kierunku jakich kroków i nie doprowadzić swojego pragnienia do rzeczywistości.

Nadszedł wkońcu dzień, w którym wszelkie rozumowania opuściły ją zupełnie. Głęboka zazdrość pożerała ją więcej może jeszcze, niż to nieobliczalne uczucie, którego odepchnąć od siebie nie umiała.

Wiedziała, że Jerzy kocha inną kobietę, ale chciała oderwać go od niej, zmusić tamtą, której nie znała, do ustąpienia jej.

Wiedziała, że młoda dziewczyna, wybrana przez Jerzego, mieszkała w Belleville i ciągle myśli jej pomimowoli zwrócone były w tę stronę. Czuła, że przyciąga ją tam jakaś siła, której wytłumaczyć sobie nie mogła.

Co się tam działo, podczas kiedy trzymano ją, jak w więzieniu, w Saint-Mande?

Stara Bruchon pocieszyła ją, że Jerzy nie widuje tej młodej dziewczyny, ale stara Bruchon mogła kłamać.

Noce szczególniej były dla niej nie do zniesienia... Z oczami szeroko otwartemi i zapatrzonemi w ciemność, spędzała je na rozmyślaniu gorzkiem, targającem jej serce.

Pewnego wieczora, Olivia, pod wrażeniem niepokojących ją myśli, nie mogąc sobie znaleźć miejsca w pokoju, którego powietrze dusiło ją – ubrała się szybko, zarzuciła gęsty welon na głowę i kazawszy zawołać dorożkę, wsiadła do niej, każąc się wieźć do mieszkania starej Bruchon.

Kiedy przybyła na miejsce, noc już zapadła. Stara nie spodziewała się jej wcale i na jej widok wydała okrzyk zdziwienia.

– Ty, u mnie! O tej godzinie późnej? – zawołała, starając się pokryć zmieszanie.

– Dlaczego cię to tak bardzo dziwi, mamo Bruchon – odrzekła żywo Olivia.

– Czego tu chcesz?

– Chciałam z tobą pomówić.

– O czem?

– O tej młodej dziewczynie, którą kocha Jerzy – rzuciła gorączkowo Olivia.

– Mówiłam ci już.

– Mówiłaś mi to wszystko, co chciałaś – przerwała z rozdrażnieniem – a ja wierzyłam, lub nie, to moja rzecz. Teraz chcę ją widzieć, rozumiesz mnie, mamo Bruchon?

– O tej godzinie?

– Chcę ją widzieć, powtarzam. Wymyślisz jakiś powód, zrób zresztą, co chcesz, ja ją widzieć muszę i musisz mnie zaraz zaprowadzić do niej.

– Jesteś szalona, to niemożliwe – odparła zimno stara.

– Dlaczego?

– Ona nie jest uprzedzona o twojej wizycie. Poskarżyć się może pułkownikowi. Zastanów się tylko, Olivio, to, czego żądasz odemnie jest istnem szaleństwem i ja na to zgodzić się nie mogę.

Olivia stanęła nagle przed starą i zmierzyła ją ostrem, głębokiem spojrzeniem. Twarz jej była blada, a oczy rzucały niepokojące błyskawice.

– Ach! Ty kłamiesz! – zawołała, poruszona nagłem podejrzeniem. – Coś się tu dzieje, co chcesz koniecznie ukryć przedemną i ja zgaduję, co to jest!

– Gadasz głupstwa!

– Jerzy jest tutaj!

– Co za myśl.

– Jest tutaj – mówię ci, jest tutaj – przybliżając się tak do starej, że twarz jej dotknęła jej twarzy. – Mów, przyznaj się, słyszysz, no, przyznaj że się wreszcie!

Pochwyciła nerwowym ruchem ręce starej i wstrząsała je mocno. Na twarzy jej malowała się energia i wściekłość, pierś jej podnosiła się przyspieszonym oddechem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Z tygodnia.

## Legiony na front!

Komenda Legionów wydała następujący rozkaz z dnia 19. b. m.:

„J. E. Tarnowski, podczas niedawnego pobytu w Przemyślu, zakomunikował nam treść listu ks. Zdzisława Lubomirskiego, wzywającego wojsko do poniesienia jeszcze jednej ofiary dla dobra Ojczyzny i zachowania możności tworzenia Wojska Polskiego z chwilą powstania rządu narodowego. W uznaniu ofiary wojska książę prezydent i dzisiejszy regent przyrzekał, że wespół z czcigodnymi kolegami dołoży starań i sił, które tylko w ludzkiej są mocy, by przyspieszyć powrót Polskiego Korpusu Posiłkowego do Królestwa w roli kadr wojska polskiego. W podzięce za te słowa otuchy i przyrzeczenia wystosowałem do ks. Lubomirskiego następujący list:

„Jaśnie Oświecony Książę! Dostojny Panie Regencie!

Hr. Tarnowski przywiózł nam dzisiaj pismo J. O. Księcia do oficerów i żołnierzy, wzywające do ofiarnego wytrwania czekającej nas niebawem nowej kampanii bojowej, która mimo, że jest najcięższą, będzie spełniona z polskim honorem i odpowiedzialnością. Apel J. O. Księcia i męskie ujęcie konieczności umacniania zrębów państwowości polskiej przez oparcie budowy przyszłej armii na legionowych podwalinach zespoliło nas z Jego Osobą jeszcze bardziej i upewniło, że wojskowe potrzeby Polski znajdą w osobie J. O. Księcia dostojnego i pewnego rzecznika. Mocne słowa J. O. Księcia i serdeczne zapewnienie o Jego i Dostojnych Kolegów w Radzie dla nas życzliwości dodały nam otuchy i upewniły, że nie jesteśmy przecież w Ojczyźnie bezdomni, a wiara, że służymy dobru Ojczyzny i Jej jaśniejszej przyszłości, umocni nasze kroki w pochodzie przez daleką ziemię do wyzwolonej świątyni narodowej niepodległości. Racz Jaśnie Oświecony a Dostojny Regencie przyjąć w imieniu wojska wyrazy szczerej podzięki i powinnego posłuszeństwa.

*Zieliński*, pułkownik m. p."

W kilka dni po tym rozkazie, w dniu 23. października dowództwo Legionów wydało do odczytania przed frontem pułków i oddziałów legionowych rozkaz dzienny o wyruszeniu na front. Rozkaz ten brzmi, jak następuje:

„Żołnierze Legioniści!

W chwili, gdy dzwony katedralne z wieżycy prastarej Królów Polskich świątyni radośnie Polsce całej obwieszczą, że na opuszczony od wieków świetny tron wkracza znowu odrodzony Majestat Polskiej Państwowości, dojeżdżać będziecie do miejsca nowego polowego postoju — osiągniecie na szlaku bojowym Legionów dziesiąty z kolei teren zmagań wojennych.

Za zgodą Najjaśniejszej Rady Regencyjnej macie Ojczyźnie i Jej dobru świadczyć służby wojenne na kresach dawnych dzierżaw Rzeczypospolitej, raz już tak godnie bronionych ofiarą i krwią II Brygady i wypróbowaną mocą znaczyć trwałe granice Państwa Polskiego.

Przypada Wam zaszczyt i obowiązek awangardy królewskiej armii polskiej. Na zaszczyt ten wielokroć zasłużyliście sobie! Waszej to bowiem zasłudze bojowej Ojczyzna przedewszystkiem zawdzięcza rozgłos Jej imienia w czasie tej wojny światowej i miejsce poczesne wśród walczących. Nasza niezłomność przekonań i nieskruszona wiara w wielkość i słuszność celu wyprowadziła z bolesnego odmętu nieskalany sztandar wojska polskiego i orężny dorobek od zagłady i zapomnienia uchroniła.

Bieg wypadków w ciągu czterech lat wojny nieustannie wskazywał, że droga, którą kroczycie, ku Polsce prowadzi, a radosny fakt intronizacyi Najjaśniejszej Rady Regencyjnej koronuje prawdę Waszych wysiłków i stwierdza, że słuszność i przyszłość Polski w Waszym obozie rycerskie znalazły schronisko

Rdzewiejący w przymusowym bezczynie miecz praojców był w Waszych, strudzonych woiaczką rękach kruszącym pęta niewoli taranem. Wierzę, że i teraz z nienmniejszoną siłą i rozmachem godnie dokończy sprawiedliwego i zbożnego dzieła na chwałę odradzającej się Ojczyzny.

Naprzód! Po sławę i wielkość dla Wolnej i Niepodległej Polski.

*Zieliński*, pułkownik."

## Zjazd polskiej demokracyi w Rosyi.

„Polnische Pressagentur" przynosi następujący telegram ze Sztokholmu:

„Pod honorowem prezydyum Aleksandra Lednickiego, dnia 19. zeszłego miesiąca, rozpoczęły się tutaj obrady zjazdu polskich organizacyi demokratycznych w Rosyi. Obecnych było 608 delegatów, reprezentujących 49 komitetów i klubów demokratycznych.

Po otwarciu zjazdu przez generała Babiańskiego, odczytano liczne pisma powitalne, poczem wśród wielkiego entuzyazmu jednogłośnie przyjęto rezolucyę, która wyraża Radzie regencyjnej w Warszawie hołd i posłuszeństwo. Rezolucya stanowczo podkreśla, że Polacy w Rosyi nie śmią prowadzić żadnej własnej polityki, lecz muszą się poddać poleceniom Ojczyzny.

Po przyjęciu rezolucyi zjazd złożył hołd Radzie regencyjnej".

## Przeciw germanizacyi ewangelików w Królestwie Polskiem.

W dniu 18. zeszłego miesiąca odbył się w Łodzi Synod ewangelicki, zwołany przez generał-gubernatora Beselera. O zebraniu tem, które skończyło się secesyą polskiej większości i wywołało ogromne rozgoryczenie wśród ewangelików polaków, jeden z uczestników Synodu podaje na szpaltach „Dziennika Narodowego" następujące szczegóły:

Na zebraniu tem delegaci zborów warszawskiego, częstochowskiego, sosnowieckiego, lubelskiego, piotrkowskiego, radomskiego i innych zgłosili wniosek treści następującej: „Ażeby zgromadzeni uznali zebranie zwołane obecnie w Łodzi na 18 i 19. października i nazwane Synodem krajowym za nie mające cech Synodu generalnego i nie mające żadnych podstaw prawnych do wydawania opinii o zmianie dotychczas obowiązującej ustawy kościoła z 1849 roku przez wprowadzenie nowej; niemniej, ażeby zgromadzenie przedstawiło projekt konsystorza Radzie regencyjnej dla nadania mu dalszego prawnego biegu". Mec. Ręczlerski zgłosił nadto w imieniu zboru warszawskiego wniosek o uznanie języka polskiego za urzędowy język Synodu, powołując się na art. 140 ustawy kościelnej i rozporządzenia warszawskiego generał-gubernatora.

Z polecenia hr. Posadowskiego, który z ramienia władz niemieckich prezydował zebraniu, członek konsystorza Paland usiłował obalić wywody delegata warszawskiego i przeprowadzał koncepcyę prawnopaństwową treści następującej: „Podług zasadniczych praw rosyjskich, które zgodnie z art. 43 konwencyi hagskiej okupanci winni szanować, prawa wydawane są na dwojakiej drodze: 1) albo wskutek rozkazu cara rosyjskiego; 2) albo na zwykłej drodze prawodawczej; w obydwu wypadkach zasadnicza idea państwowa jest ta, że car jest jedynem i wyłącznem źródłem prawa. Z mocy przepisów międzynarodowych, wszelkie prawa samowładnego cara przeszły na generał gubernatora warszawskiego, jako głównego wodza armii w okupowanym kraju.

Mecenas Ręczlerski zbił te wywody ze stanowiska prawniczego, wykazując, że od roku 1832 do 1907 obowiązywał w Królestwie tak zwany statut organiczny, zapewniający krajowi autonomię prawodawczą, rządową i administracyjną. Ustawa ewagielicka kościelna z 1849 roku była tworem krajowych władz polskich; dlatego też nie może być uchylona bez współdziału Rady regencyjnej. Wkońcu dodał, że nie pora powoływać się na cara i autokracyę, gdy car jest zdetronizowany, a o autokracyi sama Rosya na swoje szczęście zapomniała.

Po przemówieniach mecenasa Ręczlerskiego i pastora Michaelisa, który stwierdził, iż każdy powinien budować dom dla siebie, a więc obcokrajowi pastorowie nie mogą decydować ustawy dla tutejszego kraju, prezydujący hr. Posadowski, bez dyskusyi i bez poddania wniosków pod decyzyę i głosowanie zebranych, przeszedł nad tymi wnioskami do porządku dziennego, oświadczając, że wnioski przedstawi generał gubernatorowi Beselerowi, poczem nie dopuszczał do głosu lub przerywał mówcom, którzy jak n. p. pastor Angerstein, chcieli powrócić do omówienia wniosku delegatów z Warszawy; natomiast polecił przejść do rozpatrywania poszczególnych paragrafów projektowanej ustawy.

Dopatrując się w takiem postępowaniu przewodniczącego pogwałcenia praw jakiegokolwiek zebrania, mającego o czemś decydować, delegaci z Warszawy, Lublina, Radomia, Piotrkowa, Częstochowy, Sosnowca i innych, częściowo opuścili salę. Gdy zaś przy omawianiu § 1 proponowanej ustawy mowcy z obozu przeciwnego nie tylko krytykowali złożone przez delegatów z Warszawy wnioski, jak również wniosek pastorów krajowych o odroczenie tego zebrania i przewodniczący ich nie powstrzymywał, ani nie zwrócił uwagi pastorowi w mundurze Bogdanowi, gdy ten rzucił obelgę pastorom krajowym za ich stanowisko przeciwko pastorom zagranicznym, wówczas pełniący obowiązki generalnego superintendenta, pastor Gundelach, zaprotestował przeciwko takiemu postępowaniu przewodniczącego i wraz z pastorami krajowymi i częścią delegatów w liczbie przeszło stu opuścił zebranie. Na drugi dzień, to jest 19. b. m. pozostali w liczbie około stu dwudziestu, w tej liczbie wszyscy pastorowie zagraniczni i siedmiu pastorów krajowych, rozpatrywali ustawę; do jakich rezultatów doszli, to pozostało tajemnicą dla tych, którzy zebranie opuścili i podpisawszy protest, oddany prezydyum Synodu, więcej na zebranie nie wrócili.

Sprawa zostanie przedstawiona Radzie regencyjnej.

## Głosy publiczne.

**Wystawa cmentarzy Inspekcyi Grobów wojennych w Przemyślu.** C. i k. Inspekcya Grobów wojennych w Przemyślu otwiera w dniu 28. października b. r. wystawę, któraby pozwoliła ogółowi poznać to wszystko, czego dotychczas z jej ramienia dokonano w zakresie opieki nad grobami wojennymi. Sprawa to nie obojętna dla nikogo. Związani z nią jesteśmy przedewszystkiem potrzebami uczucia, nakazem pietyzmu wobec poległych. Niemniej skommasowanie obszarów z porozrzucanymi bezładnie mogiłami, zmienionych w ten sposób na znacznej przestrzeni w nieużytki, staje się ważną kwestyą gospodarczą, wymagającą załatwienia. Lekceważony tu wreszcie być nie powinien i wzgląd estetyczny: przyszły wygląd okolic, obsianych szczodrze krwawem posiewem wojny — grobami. Groby te usunięte z miejsc, w które je rzucił krwawy przypadek — żołnierska dola nieubłagana, z rozłogich pól i łąk, z lasów i sadów, z przydrożnych rowów, połączone w większe kompleksy, na miejscach obranych łącznie przez architektów i artystów malarzy powinny wszystkiem, a więc planem swoim, smakiem i stylem harmonizować z tradycyami kraju oraz z krajobrazem, a nie wywoływać przykrych dyssonansów.

Przemyska Inspekcya Grobów wojennych stanęła wobec zadania niezwykle trudnego: miała dokonać exhumacyi olbrzymiej liczby zwłok (liczba ustalona według katastru przenosi dziesięciokrotnie rozmiar prac inspekcyi krakowskiej) i to dokonać w obszarze, którego część górzysta w karpackich powiatach wobec uciążliwości terenu i warunków klimatycznych utrudniała działalność. Dodać do tego należy przymusowe uszczuplenie personalu wobec potrzeb frontu, a nadto zanik przemysłu, któryby współuczestniczył ofiarnie, pomocnie i przyspieszająco w zaczętej pracy, a pozna się najważniejsze tylko z utrudnień działalności Inspekcyi.

Zapowiedziana wystawa jest owocem pracy fachowo-technicznej.

Postarano się też o utrwalenie działalności budowlanej odpowiednimi dokumentami i założenie archiwum, dozwalającego rozpoczętą robotę prowadzić nadal i po ustąpieniu kierujących obecnie organów, o stworzenie na przyszłość podstawy do konserwacyi wojennych cmentarzy, wreszcie o rysunkowo-malarskie przedstawienie typowych zarysów cmentarzy dla zobrazowania pracy pod względem metodycznym.

Otwarcie wystawy, której zbiory pomieszczone będą w sali ratuszowej w Przemyślu, odbędzie się uroczyście w dniu 28. października b. r. Zwiedzać ją będzie można do 11 listopada włącznie

Spodziewać się można, że urządzenie tejże wystawy zarówno ze względu na dochód, jak niemniej rozbudzone zainteresowanie ogółu, przyniesie wielkie korzyści opiece grobów wojennych.

**Opieka nad grobami poległych żołnierzy i legionistów.** W dniach 31. października i 1., 2. listopada odbędzie się w całym kraju akcya składkowa na cele opieki nad grobami poległych żołnierzy c. i k. armii i legionów polskich.

Gdy najznaczniejsza część tych cmentarzy i grobów znajduje się dotąd w zachodniej części kraju, jest niewątpliwie w pierwszym rzędzie obowiązkiem tutejszego społeczeństwa dbać starannie o utrzymanie tych cmentarzy i grobów, by tym sposobem w najdalsze czasy utrwalić pietyzm i wdzięczność niewygasłą dla tych, którzy w obronie kraju życie położyli.

Gdy zaś po raz pierwszy w czasie wojny nadarza się szerokim kołom społeczeństwa naszego sposobność przyczynienia się ofiarą pieniężną na cele opieki nad grobami poległych obrońców naszych, nie może ulegać wątpliwości, że wszyscy zechcą skorzystać z niej i choćby skromnym datkiem przyczynić się do uzbierania jak największego funduszu, przeznaczonego wyłącznie na cele tej opieki.

W tej myśli Komitet krakowski zwraca się do najszerszych kół ludności o poparcie tej zbiórki, która zresztą nie będzie niczem, jak tylko drobną spłatą długu wdzięczności tym, którzy w naszej obronie życie poświęcili.

Komitet nie wątpi też, że przy wydatnem poparciu społeczeństwa będzie mógł liczyć na zupełne powodzenie akcyi składkowej, która głównie polegać będzie na sprzedaży nalepek na groby, kompozycyi p. Uziębły odznak dostarczonych przez Centralny Komitet i widokówek, przedstawiających cmentarze wojenne. Sprzedażą się zajmą uproszone Panie, w dniach powyżej podanych.

Dnia 1. listopada o godzinie 12 w południe wygłoszony będzie w kinie Opieka odczyt illustrowany obrazami świetlnymi kilkudziesięciu cmentarzy wojennych. **Bliższe szczegóły podadzą ogłoszenia.**

# Kronika tygodniowa.

Kończąc poprzednią kronikę wzmianką o ś. p. Dyogenesie, ani nawet przypuszczałem, iż niniejszą od niego zacząć mi wypadnie.

Otrzymałem bowiem w kilka dni po ukazaniu się numeru *Nowości illustrowanych* list, który w jakiś zagadkowy sposób dostał się na me biurko. Nikt z personalu redakcyjnego ani administracyjnego nie mógł mnie objaśnić, skąd on się tam wziął, kto go przyniósł i kiedy. Był bez marki i urzędowych pieczęci, widocznie więc musiał go doręczyć jakiś prywatny posłaniec.

Treść była następująca:

„Kochany Kronikarzu!

W zakończeniu swej kroniki w ostatnim numerze piszesz, iż, chcąc dziś znaleźć jednostkę, która nie miałaby zamiaru zrobić interesu na wojnie, trzeba byłoby pójść w ślady Dyogenesa i w jasny dzień szukać jej z latarnią po mieście, więc chyba nie zastanowiłeś się nad tem, że i ten sposób nie mógłby mieć pożądanego skutku. Wiadomo Ci zapewne, że latarnia o tyle może mieć zastosowanie w poszukiwaniach za kimś lub za czemś, o ile zaopatrzona jest w lampę z naftą, lub choćby olejem, albo świecę. Wy znacie dziś i inne sposoby świecenia, n. p. elektrycznością, o czem za mych czasów, a były to czasy dawne, ale dobre, nikt nawet nie słyszał.

Gdyby więc chciał kto dziś pójść rzeczywiście w moje ślady, musiałby mieć latarnię, choćby prymitywnie urządzoną, z jakimś wewnątrz kopcącym kagankiem, lub ostatecznie, niech już będzie, ze świecą. Proszę mi jednak powiedzieć skąd wziąść świecę, skoro, według rozporządzenia władz, na miesiąc i głowę przeznaczono jeden jedyny ogarek, ważący aż jedną szesnastą część kilograma? Oleju do świecenia używać nie wolno, gdyż przeznaczony jest do omasty potraw, nafty zaś brak zupełny. Choćbyś zresztą w celu swych poszukiwań chciał poświęcić i tę jedyną, przyznaną Ci z urzędu świeczkę, czem ją zapalisz, skoro społeczeństwo Wasze weszło obecnie znów w okres „bezzapałkowtości“. O ile znam stosunki, jakie u Was obecnie panują, zaczynam przypuszczać, iż niedługo pojawi się pewnie nowa taryfa maksymalna, według której zapałki pójdą w górę; wiedząc o tem, chowają je spekulanci na lepsze czasy!

Patrząc na to, co się obecnie u Was dzieje, dziękuję Zeusowi, iż zabrał mnie z tego świata, choć bowiem zawsze na małem przestawałem, mieszkając w beczce, którą sam wypróżniłem, a za całą przyodziewę służył mi płaszcz, i to do tego dziurawy, dziś, między Wami, byłoby mi przecież bardzo nieswojo. Po pierwsze, nie byłbym w stanie zdobyć się na taki wydatek, by sobie módz próżną beczkę choćby tylko wynająć, po drugie zaś, chcąc mój stary, bardzo już ażurowy płaszcz odmienić na nieco nowszy, musiałbym się starać najpierw o pozwolenie i o kartę ubraniową, a nie jest bynajmniej wykluczonem, iż, choć dotąd neutralności wobec Was szczerze dochowuję, może nie dostałbym jej nawet!

Tak! Tak!... O tem wszystkiem nawet i filozofom się nie śniło i dlatego bardzo jestem zadowolony, iż wykreślono mnie już z listy żywych i byłbym bardzo Ci obowiązany, gdybyś zechciał nie mącić nadal mego spokoju, który cenię nadewszystko.

Za życia znany byłem z tego, iż mówiłem każdemu w oczy prawdę, nic sobie z tego nie robiąc, kto przedemną stoi, a i dziś nie zmieniłem się ani na jotę i dlatego zabieram głos, by sprostować Twe twierdzenia, o co, myślę, chyba się na mnie nie pogniewasz.

Przyjm, kochany Kronikarzu, serdeczny łapościsk od szczerze Ci oddanego

Dyogenesa, filozofa“.

I cóż było robić?... Musiałem i ja przyznać mu racyę, bo sądzę, że bynajmniej nie przesadził, utrzymując, iż, choć filozof i to do tego o tak skromnych wymaganiach, dziś nie dałby sobie rady na świecie. Beczki płaci się obecnie na wagę złota, jak się sam o tem przekonałem, z jakiemi zaś trudnościami połączone jest sprawienie sobie nowego przyodziewku, mającego okryć cielesną goliznę, wie każdy, kto z uwagą czytał jedną z poprzednich kronik, w której tę sprawę omawiałem.

Porównując dawne czasy z nowymi i ja zaczynam żałować, że nie żyłem przed wiekami, choćby tylko w tym okresie, z którego pochodzi cmentarzysko, odkopane obecnie w Skotnikach. Prócz urn z popiołami i łzawnic, w każdym grobie znaleziono miski i miseczki, na których zmarłym podawano jadło, by nie cierpieli głodu na drodze wieczności... Jakie to musiały być dobre czasy, skoro karmiono umarłych i jak wobec nich wyglądają dzisiejsze, kiedy to żywy nie ma co w usta włożyć i czem głodu zaspokoić! Badacz grobów z naszej epoki będzie kiedyć musiał orzec, iż w czasie srożenia się wojny światowej, którą obecnie przeżywamy, ludzie żywili się tylko wodą i powietrzem, lub nawet ich surogatami.

W jednem tylko dawne czasy są podobne do obecnych, mianowicie pod względem chleba. Doniesiono niedawno, że gdzieś tam koło Upsali wykopano skamieniały chleb, mający pochodzić z przed lat mniejwięcej tysiąca. Gazety rozpisały się o tem, choć nie wiem dlaczego, boć i dzisiejszy chleb, zwłaszcza z niektórych piekarni, dopóki świeży, robi wrażenie klajstru, a na drugi lub trzeci dzień, nie czekając bynajmniej na lat tysiąc, kamienieje. Gdyby dziś żył autor przysłowia: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem“, byłby w kłopocie, widząc, że skutki uderzenia jednym i drugim są zupełnie jednakie.

O owym skamieniałym chlebie z pod Upsali, wykazującym jeszcze dziś ślady ziarn zboża, a nie trocin, doniesiono właśnie w tym czasie, gdy Kraków, z powodu spóźnienia się transportu mąki, skazany był na „bezchlebie“. Nie mogąc skamieniałego chleba jeść, bodaj czytaniem o nim mógł każdy chwilowo głód zaspokoić. Tego rodzaju „pożywna“ lektura jest, zwłaszcza w obecnych czasach, polecenia godną i nawet z urzędu wskazaną. Czytając o różnych smakołykach, jeśli się jest obdarzonym bujną wyobraźnią, można się czuć bodaj chwilowo nasyconym.

Nie należy jednak, broń Boże, obierać sobie za przedmiot lektury dajmy na to książek kucharskich, zaliczanych dziś do tego samego działu, co i „Bajki z tysiąca i jednej nocy“. By treść ich nie drażniła niepotrzebnie szerokich a głodnych kół czytelników, należałoby je obłożyć konfiskatą, to bowiem, co radziła ś. p. Ćwierciakiewiczowa, da się zrealizować dopiero po wojnie, a dziś nie kosztowałoby pięć złotych, ale kilka setek.

Dziś natomiast mogłyby oddać ludziom rzetelną przysługę przepisy, pouczające w sposób przystępny, jak możnaby, mając kartę mączną, cukrową i tłuszczową, oraz bony na zakupno jaj w miejskim składzie, sporządzić z tego pożywną leguminę i jak ją upiec, czy usmażyć rozporządzając na razie tylko kartą na pobór spirytusu denaturowanego.

Autor, czy autorka tego rodzaju przepisów zyskaliby sobie wdzięczność ogółu i prawa do postawienia pomnika jeszcze za życia! Odznaczenie to zaś w Krakowie nielada, jeśli się zważy, że Kościuszko na sam kamień węgielny musiał czekać sto lat, a sceptycy powiadają, że też i na tem się skończy. Kamień zostanie na rynku, skoro mu tam dobrze, statua w koszarach straży ogniowej, a cokół... w projekcie (bo tak najtaniej!...).

Pisząc o sprawach dotyczących aprowizacyi, mimowoli uczułem głód. Mam zaś to przyzwyczajenie, że ilekroć jestem głodny, gwizdam, i to bardzo artystycznie nawet, choć mnie tego nikt nie uczył. Ponieważ zaś artystyczne gwizdanie może być bardzo łatwo podciągniętem pod rubrykę sztuki, choć referentem tego działu nie jestem i na sztukach pięknych mało się znam, pozwolę sobie zabrać głos w tej sprawie i odeprzeć z oburzeniem twierdzenie swego kolegi po piórze, który utrzymuje, że w Krakowie, dzięki obojętności przerażającej większości mieszkańców, sztuka, we wszelkich jej odmianach, traktowaną jest po macoszemu.

Tak bynajmniej nie jest, czego dowodem, iż rzeczy, na to zasługujące, znajdują uznanie u ogółu. Świadczy o tem tak drobny i małoznaczący na pozór fakt, jak popisy ślepego dziada z harmonią obok kościoła Dominikanów. Na żądanie śpiewa albo sam, albo w duecie, śpiewa wesoło lub smutno, repertuar jego rozciąga się i na wydarzenia wojenne. Głos jego należycie ustawiony, jakby powiedział zapewne fachowiec, gdy ja natomiast użyłbym w tym wypadku wyrażenia „usadowiony“, gdyż śpiewa, siedząc, w dolnych zwłaszcza rejestrach wykazuje całe bogactwo tonów, nie zawsze przecież zgadzających się z dźwiękami ręcznej harmonii. Winę przypisać należy naturalnie nie śpiewakowi, ale niesfornemu instrumentowi, naruszonemu już lekko zębem czasu. Produkcye te mają zawsze licznych i cierpliwych słuchaczy, co zadaje oczywisty kłam twierdzeniu, że Kraków i jego mieszkańcy na sztuce się nie znają, albo, że ją nawet lekceważą.

Albo ów wspaniały film w „Uciesze“, ściągający tam tłumy żądnych wrażeń artystycznych mieszkańców Krakowa obojga płci (z przewagą na stronę żeńską!...) Tytuł, o ile się nie mylę, „Małpa na kominie“, lub coś w tym rodzaju, z jedną z najznakomitszych artystek świata w roli tytułowej. Krakowianie z takim entuzyazmem przyjęli ten film, iż przedsiębiorca może śmiało o sobie powiedzieć, iż „trafił Kraków w samo artystyczne centrum“...

Tak! Kraków zna się na sztuce i umie ją ocenić, ci zaś, którzy twierdzą inaczej, są w błędzie, lub też działają pod wpływem złej woli.

Już to trzeba przyznać naszej P. T. Publiczności, iż jest zapaloną zwolenniczką kina, spieszy też w jego podwoje bardzo chętnie, najchętniej wówczas, gdy afisz zapowiada jaki targający nerwy dramat, choćby nawet w guście wspomnianej wyżej „małpy na kominie“.

Za tę sympatyę, jaką Krakowianie darzą teatry świetlne, zarządy ich nie odwzajemniają się bynajmniej. W ostatnich czasach zniknęły zupełnie z horyzontu, raczej z prześcieradła kinowego, filmy o polskich napisach i trzeba było dopiero wkroczenia energicznego ze strony prasy, by publiczność upomniała się o swe prawa, co bowiem jest dobre w Berlinie i Wiedniu, nie musi być koniecznie cierpianem w Krakowie, który, jak geografia uczy, jest dotąd miastem polskiem. Za swoje pieniądze mamy prawo upominać się, by napisy na filmach były dla szerszego ogółu zrozumiałe, skoro niemieckim włada tylko „węższy“.

Tłumaczono się tem, że fabryki temu winny, gdyż tylko takie filmy nadsyłają, wspominano o wojennych czasach, usiłowano nawet wmówić w ogół, że w Krakowie jest tak wielu Niemców, którzy chodzą stale do kina, iż byłoby wskazanem zrobić dla nich to „drobne“ ustępstwo, by potem nie narzekali na nie gościnność Krakowian. Ostatecznie przecież ustąpiono pod naciskiem opinii, uznając, iż, kto chce się nauczyć po niemiecku, może to uczynić w domu, nie potrzebując do tego kina. Ponieważ w inny sposób nie można było tej sprawy załatwić, postarano się o sprawienie aparatów projekcyjnych, rzucających na ekran polskie napisy. Lepszy rydz, niż nic, łatwo przecież stać się może to samo, co ongiś miało miejsce przy tak zwanych śpiewających filmach. Równocześnie z aparatem kinematograficznym miał funkcyonować gramofon, ale nikt temu nie winien, jeśli nie były z sobą w zgodzie. Bohaterka tragicznej opery już dawno wyzionęła ducha na kinowem prześcieradle, a gramofon śpiewał sobie dalej w najlepsze, póki nie skończył. I teraz może się powtórzyć to samo, z tą chyba odmianą, iż napis, rzucony w języku polskim zapowie, dajmy na to: „Powrót teściowej“, bardzo ucieszną komedyę, a oczom widzów przedstawi się krokodyl, wygrzewający się na brzegu Nilu. Może być także i odwrotnie, zależnie od sprawności operatora.

Gorączka kinowa najprawdopodobniej teraz ostygnie, a to ze względu na rozporządzenie władz, zakazujące opalania w zimowym czasie tego rodzaju lokali rozrywkowych. Zaradzić złemu będzie można w ten sposób, by publiczność nie pozbawić tej przyjemności, iż program składać się będzie albo z obrazów, przedstawiających życie na równiku, gdzie, jak wiadomo, jest tak ciepło, iż tamtejsza ludność za cały strój używa tylko krawatek i „szwimhozów“, lub też tak wstrząsających i szarpiących nerwy dramatów, iż na sam ich widok musi się każdemu zrobić gorąco.

W ten sposób będzie i wilk syty i owca cała. Przedsiębiorcy nie będą pozbawieni dochodów, a publiczność nie będzie narzekać na zimno, które z dnia na dzień staje się coraz większem. Zaczynam też wierzyć, iż mają racyę ci, którzy twierdzą, że zbliżająca się zima będzie bardzo ostrą i da się nam porządnie we znaki.

Na politykę zostało mi, niestety, bardzo mało miejsca, a potrzeba go bardzo wiele, choćby tylko dla omówienia samych formuł pokojowych, których jedno z pism codziennych wylicza aż jedenaście. Taka ich kupa, a wojna się nie chce skończyć, być może dlatego tylko, by spełniły się słowa ś. p. lorda Kitchenera, który swojego czasu przepowiedział, że Anglia właściwie czynny udział weźmie dopiero w roku 1918. Ci, którzy byli zdania, że nowoczesna wojna trwać może najwyżej trzy miesiące, widzą, że się zawiedli, pospuszczali też nosy na kwintę, i zaczynają wierzyć, iż nieboszczyk lord powiedział prawdę. Są nawet tacy, którzy przypuszczają, że weźmie on w chwili decydującej osobisty w niej udział, żyje bowiem gdzieś w ukryciu i układa plany przyszłej kampanii wiosennej. Zresztą i siostra jego rodzona utrzymywała, że brat jej żyje i wypłynie na powierzchnię, gdy się tego okaże potrzeba.

Z owych formuł najbardziej podoba mi się żydowska, czyli socyalnego komitetu holendersko-skandynawskiego, która brzmi:

„Połowiczne załatwienie wszelkich kwestyi spornych drogą targu, przy szczególnem uwzględnieniu interesów żydowskich na obu półkulach“.

Gdyby kto zapytał się, dlaczego właśnie ona, a nie inna, przypadła mi tak do gustu, odpowiem, iż z tego powodu, że proponuje tylko „połowiczne“ załatwienie kwestyi spornych, co bynajmniej nie wyklucza wybuchu nowej wojny za lat kilka o tę właśnie drugą, niezałatwioną obecnie połowę. A wiadomo, na wojnie, zwłaszcza jeżeli się jest neutralnym, można zrobić wcale ładny interes. Także i to targowanie jest bardzo sympatyczne, a owo „szczególne uwzględnienie interesów żydowskich“ musi każdego wzruszyć do głębi.

# Zagadki do nagrody.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Przed pałacem wujaszka Gobb baca Wojtek bawi ojca.

### Łamigłówka.

Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

ł – y<br>
k – t<br>
e – a<br>
E a<br>
w – ł<br>
o a<br>
k – t<br>
o – a<br>
a – y<br>
k – s<br>
a – h<br>
A a<br>
b – k

### Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Markiewicz. Przemyśl.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) -i---y-ią-, -i---y-a- a-, a-i--a-y--a-a-.

2, --ia-o, -e----y-o--o--i!

### Logogryf.

Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z gory na dół, podadzą nazwisko, znane z fizyki.

□ – –<br>
– □ –<br>
– – □<br>
– □ –<br>
□ – –

*Znaczenie wyrazów:* 1 Rosyjska waga. 2. Rodzaj głosu 3. Srodek do chwytania ptaków. 4. Rzeka w Afryce 5. Część dawnej Polski.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

A mnich Tytus goni suche dudy z wielbłądem

### Logogryf.

Ułożył leg. pol. J. Markiewicz, poczta pol 378

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko współczesnego znanego polskiego rzeźbiarza.

□<br>
– □ –<br>
– – □ – –<br>
– – – □ – – –<br>
– – □ – –<br>
– □ –<br>
□<br>
– □ –<br>
– – □ – –<br>
– – – □ – – –<br>
– – □ – –<br>
– □ –<br>
– – □ – –<br>
– – – □ – – –<br>
– □ –<br>
□

*Znaczenie wyrazów:* 1. Spółgłoska. 2. Wąwóz 3. Rzeka we Francyi. 4 Kraj w Europie 5. Rodzaj okrycia 6 Owad. 7. Spółgłoska 8 Miasto w Finlandyi 9. Zwierzę 10. Imię męskie 11. Miasto w Królestwie Polskiem. 12 Część naczynia 13 Drzewo owocowe. 14. Rodzaj biżuteryi 15 Część twarzy 16 Samogłoska.

### Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Markiewicz, Przemyśl.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

a, a, a, a, e. g, i, k, k. k. k, l, l. ł, m, n o, o, ó, ó, p, s, s t, u, w, w, w, y, z, z

### Okienko.

Ułożył leg. pol. J. Markiewicz, poczta pol. 378

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a<br>
f g g<br>
i i i i l<br>
l m p<br>
p p p r r

*Znaczenie wyrazów:* 1. Imię męskie. 2. Sprzęt domowy. 3. Miasto w Czechach

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego*: **Królewiacy.** Powieść.

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 42.

**Łamigłówka:**

Rdza<br>
Alfa<br>
Dren<br>
Arab<br>
Ropa<br>
Ezaw<br>
Grab<br>
Epir<br>
Kurt<br>
Cepy<br>
Yard<br>
Jary<br>
Nora<br>
Amen

**Figielek:** Koniec wojny. Do wyrazów **„ójke nowy"**, dodano: **nic nie,** odjęto zaś **uni.**

**Trójkąt magiczny:**

A r t u r O p p m a n<br>
R o k o s z a n i n<br>
T r u s k a w k a<br>
U t o m n o ś ć<br>
R e l a c y a<br>
O r z e c h<br>
P a l m a<br>
P i e s<br>
M u ł<br>
A r<br>
N

**Zadanie na rozsypane litery:** Strzelił, a nie nabił.

**Okienko:**

S o s n a<br>
o o r<br>
s o n e t<br>
n e n<br>
a r t u r

**Trójkąt magiczny**

K o ś c i u s z k o<br>
O k u l a r n i k<br>
S k ł a d n i a<br>
C h o r ą ż y<br>
I d y o t a<br>
U p i ó r<br>
S a w a<br>
Z ą b<br>
K u<br>
O

**Zadanie do przestawienia:** Co strona, to żona; co parafia, to dziecko.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp.:* F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, K. Nowicki Przemyśl K. Piasecka Lwów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, M. Winiarska Lwów, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt. W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, J. Lustig Lwów, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów. S. Kozłowski Tarnów, M Rypalski p. pol 293, B. Książek Miejsce Piastowe, J. Sosenko Munkacz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **E. Laskowski, Jordanów.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego, Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.